

**LEIGH MICHAELS**

**Jeszcze jedna  
szansa**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rozkoszny zapach świeżo parzonej kawy wypełniał wnętrze restauracji, tak że Susannah zatrzymała się w drzwiach, aby wciągnąć powietrze w płuca. Alison, jedna z jej współpracowniczek, siedziała już przy stoliku, który zwykle zajmowały podczas poniedziałkowych porannych spotkań, toteż szybkim krokiem przemierzyła wąskie przejście i z westchnieniem usiadła na ławeczce naprzeciw przyjaciółki.

- Albo zacznę przynosić sobie poduszkę, albo przekonam kierownika, żeby dokonał kilku zmian w wystroju restauracji - oznajmiła stanowczo.

Alison złożyła gazetę, którą właśnie czytała, po czym odłożyła ją na stół.

- W takim razie proponuję ci poduszkę, bo odkąd sięgam pamięcią, zawsze tu były takie ławki - stwierdziła rzeczowo.

- Chyba że szukasz wyzwania...

- Czemu by nie? - Susannah sięgnęła po dzbanek, by nalać sobie kawy.

- Chociażby dlatego, że wystrój wewnątrz nie należy do sfery public relations.

- Nie byłabym tego taka pewna - mruknęła, poprawiając się na ławce.

- Poza tym mamy mnóstwo pracy - przypomniała Alison.

- Spóźniłaś się - dodała, ale w jej głosie nie było nagany.

Susannah sięgnęła odruchowo po złoty zegarek, wiszący na łańcuszku u jej szyi.

- Tylko pięć minut. Poza tym byłabym na pewno punktualnie, gdyby nie to, że przed wejściem do szkoły, obok której przechodzę, sprzedawano ciasteczka.

- O tej porze? - zdziwiła się przyjaciółka.

- Niesłychane, prawda? Pomyślałam, że młody człowiek, który tak rano sprzedaje ciasteczka czekoladowe, zasługuje na wsparcie. - Wyjęła z torby papierowy woreczek i pomachała nim przed nosem Alison. - Kupiłam takie, jak lubisz, ale nie dostaniesz ani jednego, zanim nie zjesz grzecznie śniadania.

Nadeszła kelnerka, która postawiła przed Alison talerz z omeletem.

- Witaj, Sue. - Uśmiechnęła się. - Co ci podać?

- Poproszę o tartę owocową na ciepło.

- Radziłabym ci zamówić jajecznicę na bekonie zamiast kolejnej porcji słodyczy - stwierdziła Alison, sięgając po widelec. - Jak tak dalej pójdzie, nie zmieścisz się w drzwiach do swego gabinetu.

Nic nie odpowiedziała, zdawała sobie bowiem sprawę, że przyjaciółka ma rację. Alison swym praktycznym podejściem do życia nieraz ratowała sytuację, kiedy ona traciła głowę. Kit była osobą, która dzięki swemu uporowi potrafiła dokonać rzeczy niemożliwych, zaś Susannah tryskała mniej lub bardziej szalonymi pomysłami. Doskonale się uzupełniały, toteż Tryad Public Relations wciąż istniała, a ostatnio zdobyła nawet niezłą pozycję na rynku.

Susannah faktycznie można było nazwać kopalnią pomysłów i chociaż często dziewięć na dziesięć z nich było nieudanych, to ten dziesiąty okazywał się na wagę złota. Tak też było, co

gorsza, w jej życiu prywatnym. Za przykład mogła służyć pamiętna historia z Markiem. Tak, wtedy trafiła kulą w płuco! Minęło jednak osiem długich lat, więc nie było sensu rozdrapywać starych ran, zastanawiać się, gdzie popełniła błąd. Teraz miała u swego boku dwie rozsądne, twardo stąpające po ziemi przyjaciółki, więc istniała szansa, że pod ich czujnym okiem nie zdoła ponownie napytać sobie biedy.

Na myśl o tym zerknęła na puste miejsce, gdzie zazwyczaj siedziała trzecia z przyjaciółek.

- Powiedz mi jeszcze raz, kiedy wraca Kitty? - poprosiła.

- Mówiła, że bierze tylko dwa tygodnie wolnego.

- Słyszę w twoim głosie powątpiewanie - zauważyła Susannah. - Czy przypominasz sobie, żeby Kit kiedykolwiek nie dotrzymała słowa?

- Nie, ale też jeszcze nigdy nie była w podróży poślubnej - uśmiechnęła się Alison.

- To prawda - mruknęła, z lubością przyglądając się lukrowi, pokrywającemu wierzch tarty. Jej spojrzenie bezwiednie powędrowało ku gazecie, odłożonej przez Alison. To, co tam zobaczyła, sprawiło, że zapomniała o jedzeniu. - Co stary Cyrus robi na pierwszej stronie gazety? - zapytała, sięgając po dziennik. - Pierce będzie wściekły, jeśli okaże się, że Cyrus sam powiadomił media o darze dla muzeum... - Urwała, przeczytawszy nagłówek.

„Cyrus Albrecht nie żyje”, głosił napis dyskretną, niewielką czcionką, nietypową dla tytułów znajdujących się na pierwszej stronie gazet. Gdyby nie zdjęcie, pochodzące zapewne co najmniej sprzed dwudziestu lat, Susannah w ogóle nie zauważyłaby tego artykułu.

- On nie mógł umrzeć! - jęknęła.

Alison zajrzała do gazety.

- Nie sądzę, żeby opublikowali jego nekrolog dla żartu - zawyrokowała. - Poza tym miał siedemdziesiąt osiem lat, więc chyba miał prawo umrzeć, prawda?

. - Nie, bo nie *zmienił jeszcze testamentu*. A przynajmniej tak twierdził Pierce, kiedy widziałam się z nim ostatnio.

- Tak mi się zdawało, że to ten tajemniczy kolekcjoner, nad którym ty i Pierce tak się trzęśliście. - Alison ze zrozumieniem skinęła głową.

- Wcale się nie trzęśliśmy - zaprotestowała Susannah.

- Ten, który tak bardzo obawiał się o bezpieczeństwo swej kolekcji, że nie mogłaś nawet nam powiedzieć, o kogo konkretnie chodzi - ciągnęła tamta niezrażona.

- Nie znaczy to, że wam nie ufam. Po prostu Pierce nie chciał, żeby rozeszły się plotki.

- Bo jeszcze szczodry ofiarodawca mógłby zmienić zdanie i podarować swe śliczne obrazki innemu muzeum? - zapytała z łagodną kpina w głosie Alison.

- To wcale nie są śliczne obrazki - obruszyła się Susannah, po czym nagle przyszło jej do głowy, co takiego powiedziała. Gdy spostrzegła, że w ciemnych oczach Alison igrają wesołe ogniki, żałowała, iż w porę nie ugryzła się w język. - Sekundkę, pozwól, że wyrażę to w inny sposób.

Alison roześmiała się serdecznie.

- No dobrze, przyznaję, że większość współczesnych obrazów z jego kolekcji trudno nazwać ładnymi - ustąpiła wreszcie Susannah. - Chodziło mi po prostu o to, że nie są to byle jakie prace, ale starannie wyselekcjonowane pod kątem swych walorów artystycznych i gdyby znalazły się one w zbiorach Dearborn Museum, zdecydowanie podniosłoby to jego prestiż.

- Poza tym moglibyście zagrać na nosie innym muzeom, które już zacierały ręce na myśl o zdobyciu tak cennej kolekcji - domyśliła się Alison.

- To też - zgodziła się, odsuwając od siebie talerz z ostygłą już tartą. - Oczywiście teraz nie ma to już najmniejszego znaczenia, chyba że Cyrus zdażył zmienić testament, odkąd ostatni raz rozmawiałam z Pierce'em...

- Dobrze, idź - westchnęła Alison. - Nie mam złudzeń, że zdołasz się skupić na tym, co nas czeka w nadchodzącym tygodniu, skoro nie wiesz, co się dzieje w twoim ukochanym muzeum.

- Ali, jesteś prawdziwym skarbem! - zawołała Susannah, zrywając się ze swego miejsca, po czym uściskała przyjaciółkę serdecznie.

- Biegnij, zanim zdążę zmienić zdanie - ponagliła ją Alison. - I informuj mnie o rozwoju sytuacji, dobrze?

- Naturalnie, przecież Dearborn Museum to nasz wspólny klient - przypomniała Susannah z łobuzerskim uśmiechem i wybiegła, zanim Alison zdążyła coś na to odpowiedzieć.

Złapanie taksówki w porze porannego szczytu komunikacyjnego graniczyło niemal z cudem, lecz tego dnia Susannah miała wyjątkowe szczęście. Ledwo przystanęła na chodniku, a już spostrzegła wolne auto, które wprowadzie jechało w przeciwną stronę, ale zatrzymało się z piskiem opon, gdy energicznie zamachała ręką. Przebiegła więc na drugą stronę ulicy i z impetem opadła na tylne siedzenie taksówki.

- Do Dearborn Museum, proszę - wysapała. - Tylko szybko.

Kierowcy stojących za nimi samochodów zaczęli trąbić jak szaleni, więc taksówkarz ruszył gwałtownie.

- Chce pani, żebym zawrócił w niedozwolonym miejscu, czy może mógłbym jednak stracić pół minuty na objechanie tego bloku na rogu? - zapytał oschłym głosem. - Poza tym, po co ten pośpiech? Przecież otwierają dopiero o dziesiątej.

- Wiem.

- Ludzie oglądają zdecydowanie za dużo filmów - zawyro-  
kował kierowca. - Wpadają do taksówki, wołają: „Za tantym  
samochodem, szybko!”, i spodziewają się, że będą z tego powo-  
du łamał przepisy.

Susannah przywołała na twarz uprzejmy uśmiech, postano-  
wiwszy nie wdawać się w dyskusję. Wyrzała przez okno na  
łśniącą w promieniach porannego słońca taflę jeziora Michigan.  
Ze zdumieniem spostrzegła, iż mimo tak wczesnej pory, po  
jeziorze pływało kilka łódek, których białe żagle lekko łopotały  
na wietrze.

Taksówka skręciła w kierunku centrum miasta i już chwilę  
później sunęli w ogromnym korku ulicznym, z trudem przebi-  
jając się przez zatłoczone skrzyżowania, niezmiennie ukryte  
w cieniu ogromnych drapaczy chmur. Wreszcie zatrzymali się  
tuż przed budynkiem, służącym jeszcze do niedawna jako hur-  
townia, a w którym znalazły teraz miejsce biura oraz niewielkie  
sklepiki. Na pierwszym piętrze miało swą siedzibę Dearborn  
Museum. Nazwę swą wzięło od obronnego fortu, który niegdyś  
znajdował się w miejscu, gdzie później założono miasto Chica-  
go. Muzeum było jednym z pierwszych klientów Tryad Public  
Relations i obydwie instytucje miały ze sobą wiele wspólnego,  
ponieważ walczyły o uzyskanie pozycji z dawno uznanymi gi-  
gantami, dominującymi w ich branży. Przypuszczalnie to właś-  
nie podobieństwo sprawiło, iż dobro Dearborn Museum tak  
bardzo leżało Susannah na sercu. Od trzech lat współpracowała

z dyrektorem muzeum, Pierce'em Reynoldsem, dlatego tak uradowała ją wiadomość, że jego zbiory mogą zostać powiększone o szalenie cenną kolekcję Cyrusa Albrechta.

Zapłaciwszy taksówkarzowi, skierowała się ku niepozornym blaszanym drzwiom, znajdującym się na tyłach budynku. Przycisnęła guzik domofonu, a gdy podała swe nazwisko, zadźwięczał sygnał i drzwi się otworzyły. Susannah zanotowała w pamięci, aby przedyskutować z Pierce'em kwestię dodatkowego systemu alarmowego, na wypadek gdyby muzeum jakimś cudem zdobyło obrazy z kolekcji nieżyjącego milionera.

Pierce urzędował już w swym gabinecie. Jedno spojrzenie na niego wystarczyło, aby się domyślić, iż dotarły już do niego złe wiadomości. Jego zwykle perfekcyjnie uczesane blond włosy były potargane, zaś krawat miał zawiązany nierówno i niestarannie.

- Wyglądasz prawie jak twoi koledzy artyści - zauważyła, siadając na rozklekotanym krześle, stojącym przy biurku. - Ci, którzy uważają, że samo posiadanie lustra jest przejawem narcyzmu.

- To nie było śmieszne, Susannah - zwrócił jej uwagę, ale automatycznie przecesał dłonią włosy.

- Wiem, czytałam poranną gazetę. Jak widzę, ty też przeżyłeś poważny szok.

- Szok to mało powiedziane - mruknął, siadając za biurkiem, po czym potarł palcami skronie.

- A więc nie zmienił testamentu? - zapytała, próbując ukryć rozczarowanie.

Pierce pokręcił powoli głową.

- Gdybym był bardziej stanowczy... Widzieliśmy się w zeszłym tygodniu i wtedy Cyrus uparł się, że powinniśmy jeszcze



dopracować pewne szczegóły. Gdybym mu powiedział, żeby dał spokój szczegółom, a zaczął działać...

- Gdybyś jednak na niego za mocno naciskał, mógłby się wycofać.

- Właśnie - westchnął. - Ale mimo wszystko powinienem był spróbować go przekonać, że szczegółami można się zająć w trakcie realizacji projektu.

Pierce mówił z żalem w głosie, ale Susannah przestała go słuchać, gdyż dopiero w tej chwili dotarło do niej, co się tak naprawdę wydarzyło. Zdała sobie sprawę, jak bardzo liczyła na to, że Dearborn Museum mimo wszystko otrzyma w darze tę kolekcję, wiedząc, iż wpłynęłoby to doskonale na popularność zarówno muzeum, jak i Tryad, ona zaś mogłaby być dumna, że osobiście się do tego przyczyniła,

- Dziwne - kontynuował Pierce. - Mam na myśli zachowanie Cyrusa podczas naszego ostatniego spotkania. Nie przyszło mi to wcześniej do głowy, ale...

- Może już wtedy źle się czuł? - podsunęła.

- Nie, nie o to mi chodzi. Jakby się ze mną droczył, jakby zamierzał wyciągnąć asa z rękawa...

Było to całkowicie możliwe, choć równie dobrze Pierce mógł mieć takie wrażenie pod wpływem tego, co się stało poprzedniego dnia.

- Być może... Wiesz przecież, że Cyrus był kuty na cztery nogi - zgodziła się. - Może oczekiwał, że zaproponujesz mu coś jeszcze w zamian za przekazanie kolekcji muzeum.

- W takim razie, czemu nie powiedział mi tego wprost? - Pierce wzruszył ramionami. - Poza tym, czego mógłby chcieć więcej?

- Nie wiem, może większego wpływu na profil muzeum?

- Przecież zaproponowaliśmy mu miejsce w radzie nadzorczej - przypomniał.

- To prawda - przyznała. - A może po prostu bawił się z nami w kotka i myszkę? Wiesz przecież, jak lubił znajdować się w centrum zainteresowania.

- Chcesz przez to powiedzieć, że sądzisz, iż przygotował nową wersję testamentu, ale nic mi o tym nie wspominał, żeby potrzymać mnie jeszcze trochę w niepewności? - Twarz Pierce'a rozjaśnił promienny uśmiech.

Susannah miała co do tego poważne wątpliwości, ale jako że jego nastrój wyraźnie się poprawił, postanowiła, że nie jest to najlepsza pora, aby pozbawić go wszelkich złudzeń. Tymczasem Pierce sięgnął po słuchawkę, drugą ręką przerzucając stosik wizytówek.

- Jak się nazywał ten adwokat Cyrusa? - zapytał. - Mam tu gdzieś jego wizytówkę. O, jest! - Wyjął elegancki kremowy kartonik.

- Nie sądzę, że poda ci jakiegokolwiek informacje - uprzedziła go Susannah. - Zmiany, jakie klienci wprowadzają w swych testamentach, są ściśle poufne.

- Ależ ja nie zamierzam pytać, jakie wprowadził zmiany, tylko czy w ogóle coś ostatnio zmieniał - sprostował Pierce. - Tu Pierce Reynolds - oznajmił do słuchawki. - Chciałem mówić z panem Brewsterem.

Głęboki głos, jakiego używał, zwracając się do kogoś, na kim chciał wywrzeć wrażenie, sprawił, że Susannah jak zwykle w takich sytuacjach uśmiechnęła się z rozbawieniem. Nieraz zastanawiała się, czy Pierce robi to świadomie, jednak doszła do wniosku, iż nie zdawał sobie w ogóle z tego sprawy.

Gdy wreszcie połączono go z adwokatem Cyrusa, zadał py-

tanie, które nurtowało go od samego rana. Słuchając odpowiedzi, uderzał rytmicznie w biurko końcówką ołówka, co niemal wyprowadziło Susannah z równowagi. Kiedy jednak zobaczyła wyraz twarzy, z jakim odkładał słuchawkę, zapomniała o swej wystawionej na próbę cierpliwości.

- Mówiałam ci, że nie odpowie na to pytanie - przypomniała głosem pełnym współczucia.

- Ależ odpowiedział - westchnął. - Cyrus od lat nie zmieniał testamentu.

- Tego się obawiałam - mruknęła.

- Chyba że przed śmiercią poszedł do innego prawnika - ożywił się ponownie Pierce.

- Daj spokój, przecież to niemożliwe - Susannah sprowadziła go na ziemię. - Spójrzmy na to od innej strony. Gdybyśmy jednak otrzymali te obrazy w darze, musielibyśmy żebrać o datki na opłacenie ogromnej liczby strażników - zażartowała.

- Skąd, na pewno znalazłyby się na to fundusze, gdyby było trzeba - odparł Pierce bez cienia uśmiechu.

- Dobrze, to był głupi żart - przyznała, myśląc jednocześnie, iż nie ma on za grosz poczucia humoru. - Musisz jednak pogodzić się z faktami.

- Nie powinienem był nic mówić - wyrwało mu się. - Może wtedy wszystko poszłoby po naszej myśli.

- O co ci chodzi? - mruknęła, marszcząc brwi.

- Miałem nadzieję, że Cyrus przekaże nam również swój dom - wyznał zawstydzony.

Susannah nigdy nie widziała domu Cyrusa, ale pamiętała, że Pierce zachwycał się jego wiktoriańską sylwetką, eleganckimi meblami wykonanymi z drewna orzechowego, a przede wszystkim doskonałą lokalizacją w luksusowej dzielnicy Chicago.

- I mielibyśmy przenieść tam obecne zbiory? - zapytała z powątpiewaniem. - Przy tym wszystkim nasze kłopoty z dostosowaniem budynku do potrzeb niepełnosprawnych wydają się być dziecinnym zadaniem.

- Cyrus w zeszłym roku zamontował tam windę - oznajmił to takim tonem, jak gdyby całkowicie zmieniało to postać rzeczy.

Susannah przewróciła oczyma. Miała nadzieję, że ten szalony pomysł i tak nie doszedłby do skutku, ponieważ członkowie rady nadzorczej mieliby na tyle oleju w głowie, aby wyperswadować to Pierce'owi. Jednak po chwili zastanowienia musiała przyznać, że w tym szaleństwie jest metoda. Ze swą lokalizacją w centrum Chicago Dearborn Museum konkurowało z kilkoma innymi tego typu instytucjami, gdyby zaś przeniosło się do dzielnicy, w której znajdował się dom Cyrusa, nie dość, że byłoby jedynym muzeum w okolicy, to jeszcze sąsiadowałoby z domami bogatych ludzi, których stać było na interesowanie się sztuką. Dałoby to możliwość organizowania wykładów, prelekcji, zajęć w grupach, wycieczek tematycznych. Ach, byłoby to wymarzone pole działania ambitnej specjalistki od public relations, za jaką Susannah może nieco nieskromnie się uważała.

- To nie taki zły pomysł - bronił się Pierce. - Po pierwsze, Cyrus nie miał żadnej rodziny, a zatem nie miał też komu go zostawić. Po drugie, wiesz, że ta kolekcja była dla niego ważniejsza niż cokolwiek innego, więc dobrze byłoby pozostawić ją w miejscu, jakie dla niej przeznaczył za swego życia.

Niechętnie odsunęła na bok pomysły, jakie kłębiły jej się w głowie. Teraz było już na nie za późno.

- A co z pogrzebem? - zapytała po chwili. - Idziemy?

Przez moment nie była pewna, czy Pierce w ogóle dosłyszał to, co mówiła.

- Czemu nie? - odparł wreszcie, śmiejąc się gorzko. - Myśliwy lubi czasem spojrzeć po raz ostatni na zwierzyńnię, która zdołała mu się wymknąć.

Gdy Alison zapukała do drzwi gabinetu, Susannah rozmawiała właśnie przez telefon, toteż gdy przyjaciółka zajrzała nieśmiało, gestem zaprosiła ją, by weszła do środka.

- Tak, pani Adams, rozumiem pani rozczarowanie, ale muszę powiedzieć, że znalazłam - tłumaczyła do słuchawki.

Alison usiadła na miękkim, pokrytym kwiecistym obiciem fotelu. Jej emanująca spokojem i cierpliwością sylwetka skłoniła Susannah do refleksji nad faktem, iż wszystkie trzy współpracownicy różniły się od siebie diametralnie. Alison była zdolna siedzieć bez ruchu nawet kilka godzin, jak grzeczna uczennica. Gdyby to Kit miała czekać, prawdopodobnie zrobiłaby porządek na półce z książkami, zaś Susannah zapewne ułożyłaby się wygodnie na kolorowej kanapie i udawała, że ucina sobie drzemkę.

Gdy wreszcie udało jej się ułagodzić panią Adams, odłożyła słuchawkę na widełki i potarła zaczerwienione ucho.

- Zobacysz, kiedyś słuchawka przyrośnie mi do ucha - poskarżyła się z lekkim uśmiechem.

Zerknęła tęsknie w kierunku stojącej we wnęce kanapy, ale zmuszona była zwalczyć w sobie pokusę położenia się na niej, bo choć jej lniana spódnica była szalenie wygodna, to każde zagniecenie widać było na niej z daleka.

- Rita mówiła, że łączyła do ciebie telefony wszystkich członków rady nadzorczej Dearborn. - Alison pokiwała ze współczuciem głową.

- O, tak. Już sama nie wiem, czy dziękować jej, że jest tak skrupulatną sekretarką, czy może zrobić jej awanturę, dokładnie

z tego samego powodu. Na szczęście pani Adams była ostatnią z nich.

- O co im chodzi? - zainteresowała się Alison. - Czyżby wiedzieli o waszych negocjacjach z Cyrusem?

- Nie, a przynajmniej nie mieli pojęcia o kogo chodzi. Zda się jednak, że dziś rano rozeszły się wieści, że muzeum straciło wszelkie szanse na otrzymanie kolekcji, o jaką zabiegało, więc wszyscy ci, którzy mają coś do powiedzenia, dzwonią z pogrózkami.

- Jakimi pogrózkami?

- Na przykład, że zatrudnią nowego dyrektora. Ale myślę, że uda mi się ich ugłaskać i w końcu zrozumieją, że to nie była wina Pierce'a i że nie znajdą nikogo, kto zgodziłby się pracować za takie pieniądze. O co chodzi., Ali?

- Szczerze mówiąc, właśnie o Pierce'a - odrzekła. - Rita prosiła mnie, żeby ci powiedzieć, że czeka on na dole.

Susannah wstała i sięgnęła po czarny żakiet.

- To dobrze - stwierdziła, wyglądając spodniczkę. - Nie znaczy to, że spieszy mi się na pogrzeb Cyrusa, ale mam już dość tych telefonów - wyjaśniła.

- Nie wątpię - uśmiechnęła się Alison, kierując się ku drzwiom. - Muszę powiedzieć, że ty i Pierce wyglądacie niemal identycznie, tylko że ty nie masz czarnego krawata, a on nigdy nie prezentowałby się równie fantastycznie jak ty w tym kapeluszu.

- Jesteś pewna, że nie przesadziłam z tym kapeluszem? Nie chciałabym wyglądać jak zawodowa żałobniczka, ale naprawdę lubiłam Cyrusa, więc...

- Wyglądasz rewelacyjnie - zawyrokowała Alison. - Gdybym ja mogła coś takiego nosić, nie zdejmowałabym go z głowy nawet do spania.

- Tylko że takie rondo bardzo przeszkadza w całowaniu  
- ostrzegła Susannah, uśmiechając się filuternie.

- Tak jak mówiłam, nie zdejmowałabym go nawet do spania  
- powtórzyła Alison, zatrzymując się na schodach, prowadzących do pracowni.

- Och, Ali, gdybyś chociaż na moment przestała być taka praktyczna i zasadnicza, mężczyźni ustawiliby się w kolejce, żeby cię całować.

- Czyżby? Skoro więc nie mam czasu na takie głupoty, niezwłocznie sprawię sobie taki kapelusz - oznajmiła Alison, ruszając pod górę.

Susannah westchnęła ciężko, postanowiwszy tym razem dać za wygraną, po czym zeszła na parter, gdzie czekał na nią Pierce. Stał tyłem do niej, przyglądając się reprodukcji, wiszącej na ścianie recepcji.

- Mógłbym znaleźć wam coś lepszego do powieszenia przy wejściu - zaofiarował się, gdy stanęła obok.

- Wątpię, czy znalazłbyś coś tak taniego, żeby nie zrujnowało budżetu reprezentacyjnego Tryad - zauważyła, przyglądając mu się z aprobata.

Alison myliła się tylko co do koloru krawata, ponieważ był on nie czarny, ale grafitowy, miała jednak słuszną rację, że wyglądali obydwójce jak dwie części jednego zestawu. Wychodząc z biura, Susannah pochwyciła zachwycone spojrzenie Rity.

- Piękny mamy dziś dzień - zauważyła, gdy znaleźli się w małym, sportowym samochodzie Pierce'a. - W sumie dobrze się złożyło, że przesunięto uroczystość, bo wczoraj lało jak z cebra... - Zamilkła nagle, uświadomiwszy sobie, że mówi, aby wypełnić czymś ciszę, co jeszcze nigdy nie zdarzyło jej się w jego towarzystwie.

- Przesunięto pogrzeb na prośbę spadkobiercy Cyrusa - wyjaśnił Pierce.

- Co takiego? - Zmarszczyła brwi.

- Nie mówiłem ci, czego się dowiedziałem? Testament, który jest w mocy, został sporządzony ponad dziesięć lat temu i...

- Widzę, że dobrze wykorzystałaś to opóźnienie - przerwała zaskoczonym głosem.

- Może i tak, choć nie było mi przyjemnie dowiedzieć się, że Cyrus cały swój majątek zapisał synowi swej dawnej kochanki - mruknął,

- No, no, kto by pomyślał...

- Prawda? Trudno uwierzyć, że ktoś równie przezorny, jak Cyrus, nie zadał sobie tyle trudu, by raz na jakiś czas uaktualnić testament. Teraz zaś cały jego majątek pójdzie w ręce kogoś, kto nawet nie pofatygował się, żeby w takiej sytuacji skrócić swe wakacje na Hawajach. Ma przyjechać dopiero dziś.

- Nie o to mi chodziło - sprostowała. - Pomyślałam, że syn tej jego flamy może równie dobrze być także jego dzieckiem.

- Eee, niemożliwe...

- Nawet Cyrus był kiedyś młody - przypomniała. - Teraz, kiedy o tym myślę, przypominam sobie, że od czasu do czasu w jego oczach pojawiały się zawadiackie ogniki.

Pierce tylko prychnął, wyraźnie nie przekonany.

Gdy podjechali do cmentarza, okazało się, że wąskie alejki są zajęte przez niespodziewanie dużą liczbę samochodów, toteż zmuszeni byli zaparkować w sporej odległości od kwatery, w której miano pochować Cyrusa. Susannah z westchnieniem spojrzała na swe eleganckie czarne pantofle na wysokim obcasie, a potem na zwirową dróżkę. Przeszła jednak zaledwie kilka kroków, gdy zapomniała o niewygodzie, uwielbiała bowiem sta-



re cmentarze oraz ich pełną szlachetnego dostojęstwa atmosferę. Zawsze fascynował ją sposób, w jaki stare pomniki, na których zapisano zaledwie daty oraz krótkie epitafia, opowiadały o losach ludzi pod nimi spoczywających. Kiedyś lubiła odszyfrowywać te opowieści, była w tym nawet całkiem dobra. Od dawna jednak tego nie robiła, jeśli chodzi o ścisłość, od ośmiu lat. „Ale skąd ty to wszystko wiesz?” - zadźwięczało jej w uszach pytanie, wypowiedziane głębokim barytonem, którego nie słyszała od ośmiu lat. Ciekawe, że wciąż brzmiał czysto i dźwięcznie, jak wspomnienie sprzed paru dni, a nie prawie całej dekady.

- Ale skąd wiesz, że kobiety miały wtedy ciężkie życie, skoro to grób mężczyzny? - zapytał Marc w rzeński listopadowy poranek, gdy spacerowali po starym cmentarzu w północnej części Chicago.

- To prawda, ale zauważ, że pomnik postawiony jest patriarsze rodu, a z tyłu wykuto listę imion, z których możesz się dowiedzieć, że miał trzy żony, ale żadna z nich nie zasłużyła na oddzielny pomnik. Teraz leżą wszystkie razem u jego boku.

- Niemożliwe, przecież człowiek ma tylko dwa boki, więc trzy żony się nie zmieszczą - zauważył praktycznie Marc.

Tak ją rozbawiła ta uwaga, że musiała usiąść na stojącej nieopodal kamiennej ławeczce, próbując opanować atak śmiechu. Nie udało jej się jednak złapać tchu, ponieważ Marc usiadł obok i pocałował ją tak, że zapomniała o bożym świecie.

Od tamtej pory nie była więcej na cmentarzu.

- Okropność - mruknął Pierce. - Cyrus zawsze potrafił utrudnić innym życie.

- Óóó - syknęła, jako że zbliżyli się do namiotu, w którym czekali już zgromadzeni uczestnicy pogrzebu.

Powiał delikatny wietrzyk, który lekko przekrzywił jej kapelusz, a także poruszył amerykańską flagą, przykrywającą trumnę. Zdziwiła się tym widokiem, ponieważ nie miała pojęcia, iż Cyrus służył kiedyś w wojsku. Z drugiej strony, codziennie niemal przekonywała się, jak niewiele o nim wiedziała.

Chwilę po ich przyjściu na podium wszedł pastor, który rozpoczął nabożeństwo. Susannah przechyliła nieco głowę, by móc spod szerokiego ronda kapelusza swobodnie przyjrzeć się zgromadzonym. Spozregła kilka znajomych twarzy, ale nie było tam nikogo, kogo znałaby naprawdę dobrze. Co więcej, mimo starań nie była w stanie dopatrzeć się kogoś, kogo mogłaby uznać za spadkobiercę Cyrusa. Nikt specjalnie się nie wyróżniał z tłumu, nie było nikogo, kto w szczególny sposób okazywałby emocje. Czyżby więc Pierce miał nieprawdziwe informacje co do przybycia tajemniczego spadkobiercy?

Nabożeństwo trwało krótko. Wreszcie dał się słyszeć huk salwy honorowej, a po chwili jeden z żołnierzy podszedł do trumny i zwinąwszy sprawnie flagę, podał ją stojącemu nieopodal wysokiemu mężczyźnie. Niestety, Susannah nie była w stanie dostrzec jego twarzy, widziała tylko tył głowy, olśniewająco białe kołnierzyk koszuli oraz ramiona, okryte szarą marynarką w prążki. Fakt, że nie była ona czarna, miał dla Susannah symboliczne znaczenie.

- To z pewnością syn kochanki Cyrusa - zauważył szeptem Pierce. - Szkoda, że nie mogę mu się przyjrzeć z bliska.

Pastor odmówił końcową modlitwę, po czym podniósł wzrok i spojrzał na zgromadzonych w namiocie.

- Wolą Cyrusa było, aby wszyscy, którzy uczestniczyli w tym nabożeństwie, udali się do jego domu na przyjęcie - powiedział.

- Ależ to makabryczny pomysł! - Susannah wykrztusiła z trudem.

- W dodatku całkowicie nieuzasadnione trwonienie pieniędzy - dodał Pierce. - Muzeum znalazłoby znacznie lepsze zastosowanie dla tak dużej sumy.

Mimo to, zamiast skrócić w kierunku centrum, udał się za sznurem innych samochodów ku zachodnim przedmieściom Chicago, gdzie znajdował się dom Cyrusa.

- Chwileczkę! - zaprotestowała. - Chyba nie zamierzasz iść na to przyjęcie? Przecież obydwoje uważamy, że to szczyt złęgo smaku.

- To nie ma nic do rzeczy. Może się okazać, że spadkobierca Cyrusa ma na ten temat inne zdanie i pojawi się na tym przyjęciu, więc nie możemy zmarnować takiej okazji.

- Nie rozumiem...

- Mogę się założyć, że nie ma pojęcia, co zrobić z kolekcją Cyrusa - wyjaśnił Pierce. - Kto wie, może nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jest cenna? Pomyślałem więc, że przedstawię mu się i spróbuję coś wskórać...

- Czy to nie najwyższy czas, żebyś dał sobie spokój - przerwała mu.

- I to mówi specjalistka od public relations? Przecież nie mam nic do stracenia, prawda? Pomyśl, jak byśmy się czuli, gdyby oddał wszystkie dzieła innemu muzeum albo sprzedał je za bezcen?

W pewnym sensie Pierce miał rację, musiała to przyznać, a że nie miała ochoty wyskakiwać z jadącego samochodu, pozostawało jej jedynie udać się na to niestosowne przyjęcie.

Dom Cyrusa Albrechta nie był zwykłym wiktoriańskim budynkiem, jak to sobie wyobrażała po rozmowie z Pierce'em. Był to najbardziej wymyślny i wyszukany obiekt w stylu wiktoriańskim, jaki kiedykolwiek w życiu widziała, zdobny w przeróżne wieżyczki, balkoniki i tarasy. Liczne gzymsy pokryte były zielonkawymi oraz brązowymi sztukateriami, gdzieniegdzie przetykanymi czerwonym ornamentem.

- Doskonale nadawałby się na nawiedzony dom, ale raczej nie na muzeum - zauważyła Susannah z niemałym podziwem w głosie. - Nie sądzę, żeby było tam wiele dużych ścian.

- Można by przecież dobudować jeszcze jedno skrzydło - wzruszył ramionami Pierce. - Zresztą i tak nie ma to już teraz żadnego znaczenia. Ten dom wart jest fortunę, więc spadkobierca Cyrusa nigdy nie zgodziłby się, by nam go przekazać.

- Obrazy też mają niebagatelną wartość - przypomniała.

- Owszem, ale jeśli chodzi o dom, to na pierwszy rzut oka widać, że wart jest majątek, natomiast w przypadku obrazów, laik mógłby mieć trudności z ich wyceną.

- Ależ, Pierce, nie masz chyba zamiaru Wprowadzać nikogo w błąd! - oburzyła się.

Miała ochotę wyłuszczyć mu, co sądzi na temat takiego postępowania, ale że znaleźli się właśnie przy drzwiach rezydencji Cyrusa, postanowiła, iż nie jest to najlepsza pora na wygłaszanie kazań. Weszli więc do przestronnego, wykończonego ciemnym drewnem holu, gdzie zebrał się już spory tłum gości. Susannah przez dłuższą chwilę próbowała przyzwyczać wzrok do panującego tu półmroku i zanim zdążyła się zorientować, Pierce pociągnął ją w kierunku stojącego tyłem do nich nowego właściciela domu oraz kolekcji obrazów.

- Przykro mi, że spotykamy się w tak smutnym dniu - za-

czął głębszym niż kiedykolwiek głosem, wyciągnawszy dłoń ku mężczyźnie, którego twarzy Susannah nie mogła dostrzec ze względu na szerokie rondo swego kapelusza. - Byłem przyjacielem pańskiego... przyjacielem Cyrusa. Widzi pan, ja też trochę interesuję się sztuką.

Trochę?! Susannah nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Czyżby? - odparł bez specjalnego zainteresowania mężczyzna.

Susannah zamarła. Niemożliwe, żeby słyszała ten sam głęboki męski głos, którego brzmienie tak często pojawiało się w jej wspomnieniach! Powoli odwróciła głowę. Jej spojrzenie padło na mankiet koszuli mężczyzny, który właśnie wyciągnął rękę, aby uścisnąć dłoń Pierce'a. Widniał tam wyhaftowany monogram MDH.

MDH... Marcus David Herrington... Marc, największa pomyłka, jaką Susannah kiedykolwiek w swym życiu popełniła. Wolno, w obawie przed tym, co może zobaczyć, podniosła głowę, by spojrzeć na jego twarz.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Podnosząc głowę, wciąż tłumaczyła sobie, że to niemożliwe, ponieważ Marc Herrington, którego niegdyś znała, nie posiadał ani jednego krawata, a już tym bardziej eleganckiego garnituru w prążki, zaś co do koszuli z haftowanymi mankietami, to wołałby raczej sportową bluzę z jakimś kontrowersyjnym nadrukiem.

Było to najnormalniej w świecie niemożliwe. Po prostu wpadła w pułapkę, jaką zastawiły na nią wspomnienia, wywołane widokiem starego cmentarza.

Przekonawszy samą siebie, że tak właśnie było, przywołała na twarz uprzejmy uśmiech, by przywitać się z mężczyzną, który nie był - co więcej, nie mógł być - Marcusem Herringtonem. Spojrzała w jego ciemnobrązowe oczy, otoczone gęstymi czarnymi rzęsami. Oczy, w których głębi można było utonąć, a przynajmniej tak jej się wydawało przed ośmiu laty.

- Cóż - mruknął takim tonem, że to krótkie słówko nabrało niezliczonej liczby znaczeń.

- Witaj, Marc - odrzekła słabym głosem, wyciągając ku niemu nieco drżącą dłoń.

Pierce spojrział na nią z wyraźnym zaskoczeniem, ale w rekordowym czasie udało mu się odzyskać animusz.

- Znacie się? - zapytał. - Ależ to wspaniale. Jak rozumiem, jesteście starymi przyjaciółmi?

Trudno było się nie domyślić, że pragnie zostać przedstawiony Marcusowi, toteż Susannah, chcąc nie chcąc, dokonała prezentacji.

- Marcus Herrington - powtórzył powoli Pierce. - Nie przypominam sobie, żebym wcześniej słyszał to nazwisko.

- Nie dziwię się. Nie sądzę, żeby Susannah często o mnie wspominała - przyznał Marc, uśmiechając się znacząco.

Susannah poczuła, że budzi się w niej gniew. Nawet gdyby powiedział wprost, że byli kochankami, nie zrobiłby w ten sposób na Pierce większego wrażenia niż tą pozornie niewinną uwagą. Wystarczyło spojrzeć w jego oczy, by wiedzieć, że Marc osiągnął zamierzony cel, co tym bardziej ją zirytowało.

- Rzeczywiście, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek wspominała o tobie w rozmowie - odparła wyniosłym tonem. - Bądź co bądź, nie byłeś aż tak ważną osobą w moim życiu.

- Ależ oczywiście, moja droga, właśnie to miałem na myśli - zgodził się.

Akurat, miałaś raczej na myśli, że byłeś dla mnie zbyt ważny, pomyślała, zaciskając pięści. A dzięki temu, że powiedziałaś to odpowiednim tonem, Pierce doszedł dokładnie do takiego samego wniosku.

Mimo wszystko łatwość, z jaką stawiał ją w niezręcznej sytuacji swymi wypowiedziami, budziła w niej podziw, ponieważ Marc, jakiego niegdyś znała, był szalenie otwarty i prostolinijny. Ciekawa była, gdzie się nauczył tak gładko mówić, przypierając jednocześnie do muru swego rozmówcę. Oczywiście, ani trochę jej to nie obchodziło, podobnie zresztą jak to, co Pierce pomyślał sobie na jej temat.

- Nie powinienem jednak wyciągać wydarzeń z przeszłości

- zauważył po chwili Marc, zwracając się do Pierce'a. - Mówił pan, że podobnie jak Cyrus interesuje się sztuką?

Subtelna nuta ironii w jego głosie sprawiła, że Susannah natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy aby słyszał już nazwisko Pierce'a, a przez to wątpił, że okazane mu zainteresowanie jest całkowicie bezinteresowne. Z drugiej jednak strony, było to raczej mało prawdopodobne, ponieważ Dearborn Museum nie cieszyło się jeszcze zbyt dużą popularnością, a co za tym idzie, nazwisko jego dyrektora nie było aż tak dobrze znane w kraju. Dopiero więc, gdy powędrowała wzrokiem za spojrzeniem Marcusa, przekonała się, gdzie ono spoczęło, przez co dowiedziała się, skąd ta ironia w jego głosie.

- Jego gust artystyczny uważam za dość, jak by to określić, interesujący - stwierdził Marc, przyglądając się nowoczesnemu obrazowi, który stanowił jeden z ostatnich, a zarazem najbardziej cennych nabytków w kolekcji Cyrusa. - Przypuszczam, że dzieło to mogłoby mi posłużyć za wycieraczkę.

Susannah przygotowała się psychicznie na katastrofę. Obraz, o którym mówił Marc, nie należał do jej ulubionych. Jego autor, Evans Jackson, machnął szerokim pędzlem trzy krwistoczerwone krechy na dużym białym płótnie, po czym pozostawił na nim pędzel do wyschnięcia. Jej zdaniem obraz wyglądał makabrycznie, mniej więcej jak element wyposażenia rzeźni. Tymczasem Pierce uważał go za arcydzieło i nie potrafił zrozumieć jej braku entuzjazmu. Wygłosił nawet specjalnie na jej użytek półgodzinny wykład dotyczący ekspresjonistycznego symbolizmu, czy czegoś w tym stylu, ale pozostała niewzruszona. Teraz zaś nie mogła się doczekać reakcji Marcusa na tę samą tyradę.

Pierce obejrzał się za siebie.

- A, o to panu chodzi? - odezwał się spokojnym głosem.



- Cóż, Cyrus miał od czasu do czasu nieco ekscentryczne pomysły.

Zamrugała gwałtownie oczyma, pomyślawszy o horrenalnej sumie, jaką Cyrus zapłacił za to płótno. Wtedy przypomniała sobie, że na początku rozmowy Pierce stwierdził, iż trochę interesuje się sztuką. Miała nadzieję, że nie zamierzał długo ciągnąć tej komedii, zwłaszcza iż przed chwilą przekonał się, jakie są poglądy Herringtona na sztukę.

- Oczywiście pozostałe obrazy Cyrusa nie są aż tak krzykliwe - ciągnął Pierce. - Kilka można nawet uznać za znakomite.

Cichy głos sumienia podpowiadał jej, aby bez względu na konsekwencje natychmiast przerwała to przedstawienie, zanim Pierce zaoferuje się pomóc Marcusowi w pozbyciu się mniej atrakcyjnych płócien. Poczwała jednak, jak palce Pierce'a zaciskają się boleśnie na jej ramieniu, więc nie odezwała się ani słowem.

- Krzykliwe - powtórzył w zamyśleniu Marc. - To bardzo interesujące określenie.

- Jeśli potrzebuje pan pomocy w wycenie kolekcji Cyrusa...  
- zaczął Pierce.

- Bardzo to miło z pana strony - przerwał mu. - Ciekawe, gdzie jest Joe Brewster? To on ma się zająć oszacowaniem wartości obrazów.

Rozejrzał się po pomieszczeniu, a że był sporo wyższy od większości zgromadzonych tam osób, z łatwością spostrzegł tego, kogo szukał i skinął doń ręką.

Nagle dotarło do Susannah, że mężczyzna, o którym wspominał Marc, to ten sam Joe Brewster, prawnik Cyrusa, z którym Pierce niedawno rozmawiał w sprawie testamentu starszego pana. Oby tylko nie rozpoznał jego nazwiska...

- Chciałeś ze mną rozmawiać, Marcus? - zapytał niewysoki, krępy mężczyzna, podchodząc do nich.

- Joe, chciałem ci przedstawić Susannah... - Zawahał się. Czyżby nawet nie pamiętał jej nazwiska?!

- Miller - podsunęła chłodno.

- Nadal? A może znowu?

Poczuła się nieco lepiej, przekonawszy się, czym było spowodowane jego wahanie. Bądź co bądź, w ciągu ośmiu lat rzeczywiście mogła zdążyć wyjść za mąż oraz rozwieść się, zresztą nawet nieraz. Na szczęście nie założył przynajmniej, że jest żoną Pierce'a.

- Nadal - odparła krótko.

- Co za pech. O ile pamiętam, bardzo zależało ci na wyjściu za mąż, nie bez przyczyny zresztą.

Jeśli mnie jeszcze zapyta, dlaczego tak się nie stało, uduszę go gołymi rękoma, pomyślała z wściekłością.

Ku jej uldze, Marc nie drażył tego tematu, tylko przedstawił Brewsterowi Pierce'a.

- Pan zaproponował swą pomoc przy szacowaniu wartości kolekcji Cyrusa - dodał.

- To bardzo miło z pańskiej strony, panie Reynolds. - Adwokat wyciągnął rękę. - Chętnie przyjmimy pańską pomoc, bo jako dyrektor Dearborn...

Palce Pierce'a ponownie zacisnęły się mocno na jej ramieniu.

- Jeśli chodzi o ścisłość - wpadł w słowo Brewsterowi - nie miałem na myśli osobistej pomocy, ponieważ jestem szalenie zajęty w muzeum, wiem jednak, że Susannah z chęcią panom pomoże.

Otworzyła już usta, żeby zaprotestować, ale po chwili zamknęła je z powrotem. Powinna była zrozumieć, że ów silny

ucisk, jaki poczuła na swym ramieniu, był ostrzeżeniem, a nie wyrazem zaskoczenia, jak jej się początkowo zdawało. Poczowała na sobie uważne spojrzenie Marcusa.

- A czy Susannah ma odpowiednie kwalifikacje? - zapytał z powątpiewaniem.

- Właśnie, Pierce - odezwała się, nie mogąc już dłużej milczeć. - Nie jestem pewna, czy...

- Ależ oczywiście, że ma kwalifikacje - przerwał jej. - Nie powinnaś umniejszać swych talentów.

- Ani swych walorów - dodał Marc. - Wiesz, Joe, zdaje się, że w takiej sytuacji sam bliżej przyjrę się kolekcji Cyrusa.

Wciąż trzymając ją za ramię, Pierce poprowadził Susannah korytarzem, wiodącym ku znajdującej się na jego końcu jadalni. Jako że zdecydowana większość gości zgromadziła się przy uginających się od potraw stołach, mogli porozmawiać w cztery oczy.

- Sądzę, że poszło nam całkiem nieźle - stwierdził z zadowoleniem Pierce.

- W takim razie chciałabym wiedzieć, co nazwałbyś katastrofą - odparowała. - Żeby jeszcze bardziej pogorszyć sprawę, mogłeś zaproponować, że z miejsca kupisz wszystkie obrazy po cenie hurtowej.

- Wiesz, że to dobry pomysł? - przyznał niespodziewanie. - Przypuszczam, że Herrington gotów byłby zgodzić się na coś takiego.

- Tylko że wtedy pan Brewster zorientowałby się, że chcesz nabić w butelkę jego klienta, więc nie tylko straciłbyś dobre imię, ale też naraził na szwank reputację muzeum.

- Właśnie, ciekawe, skąd zna moje nazwisko, przecież nie

wspominałem o Dearborn Museum, kiedy dzwoniłem w sprawie testamentu - zastanawiał się. - Zapewne Cyrus powiedział mi o naszych planach. Susannah, czy naprawdę sądzisz, że jestem na tyle nierozważny, by udawać amatora?

- Odniosłam dokładnie takie wrażenie - mruknęła.

- Nic bardziej mylnego, po prostu nie chciałem się chwalić swoją pozycją, obyciem i wykształceniem - stwierdził całkowicie nieskromnie.

- Daj spokój, Pierce - zachnęła się. - Przecież wiem, że próbowałeś mi wmówić, że płótno Evansa Jacksona jest nic nie warte.

- Po prostu postępowałem dyplomatycznie, bo chciałem wy badać, jaki ma gust - bronił się. - Wszyscy właściciele galerii tak postępują, bo w przeciwnym razie nie sprzedaliby ani jednego obrazu. Nie mogę powiedzieć, żebyś była tym razem szczególnie pomocna. Czemu mnie nie uprzedziłaś, że go znasz?

- Bo sama nie miałam pojęcia, że to on, aż do chwili gdy było zdecydowanie za późno na ucieczkę.

- Rzeczywiście, wyglądałaś na nieco zdumioną - przyznał.

- O co mu chodziło z tym ślubem? Nie byłaś nigdy jego żoną, mam nadzieję?

- Nie - odparła słabym głosem.

- To dobrze, bo w przeciwnym razie musiałbym zmienić zdanie co do twojego gustu - zawyrokował. - Przyznam, że początkowo nie miałem pojęcia, z kim mam do czynienia, bo zwiódł mnie jego elegancki strój, ale kiedy tylko wyraził swą opinię na temat obrazu Evansa Jacksona, wiedziałem, że nie zna się ani trochę na sztuce. Ten jego pomysł, żeby tak cenne płótno służyło jako wycieraczka! Mam tylko nadzieję, że Evans nigdy się nie dowie, co musiałem powiedzieć o jego dziele.

- Nie obawiaj się, nie wygląda na to, żeby obracali się w tym samym towarzystwie - zakpiła.

- To prawda - roześmiał się.

- Poza tym, przecież wszyscy właściciele galerii tak robią, jeżeli chcą cokolwiek sprzedać - przypomniała z ironią w głosie. - Jeśli chodzi o to zadanie, jakie mi wyznaczyłeś... Chyba nie sądzisz, że będę udawała pracownika muzeum?

- Oczywiście, że nie - pospieszył z zapewnieniem. - Przedstawimy cię jako...

- Jako osobę, którą jestem, czyli specjalistkę od public relations - przerwała mu ostro.

- Doskonale - zgodził się. - Bo wzięwszy pod uwagę twój brak doświadczenia...

- O ile mnie pamięć nie myli, powiedziałaś Marcusowi, że mam odpowiednie kwalifikacje - przypomniała.

- Owszem, ale nie twierdziłem, że jesteś ekspertem, więc jeśli popełnisz jakieś błędy...

- Chyba nie sądzisz, że będę specjalnie popełniała pomyłki? - oburzyła się.

- Ależ, Susannah, przecież będziesz miała do dyspozycji cały księgozbiór znajdujący się w muzeum, poza tym w razie jakichś wątpliwości zawsze możesz zwrócić się do mnie.

- Czyli że to ty będziesz popełniał błędy? Nie ma mowy!

- Zależy mi na tej kolekcji i dostanę ją, żeby nie wiem jakiej ceny zażądał - zapowiedział Pierce. - Pamiętaj tylko, że jeśli oszacujesz wartość obrazów za wysoko, będziesz potem musiała główkować, jak przeprowadzić kampanię, żeby zdobyć potrzebne pieniądze.

- A jeśli wycenię je zbyt nisko, wyjdę na kompletną idiotkę.

- Wątpię. - Pierce wzruszył ramionami. - Nie zauważyłaś,

jak on na ciebie patrzy? Jak wygłodniały wilk. Dlatego uważam, że jeśli dobrze rozegrasz tę partię, nie będziesz zmuszona odpowiadać na jakiegokolwiek kłopotliwe pytania z jego strony.

W siedzibie Tryad, mieszczącej się w niewielkiej kamienicy nieopodal Parku Lincolna, nie było żywej duszy, gdy tego wieczoru Pierce przywiózł tam Susannah. Tymczasem zarówno w okolicznych domach, jak i na ulicy, tętniło życie, jako że była to dzielnica typowo mieszkalna, a że pogoda ostatnio się poprawiła, na chodnikach bawiło się mnóstwo dzieci. Susannah minęła kilkoro miłośników jazdy na rolkach, przyjrzała się uważnie niesłychanie zaciętej partyjce gry w kapsle, a gdy znalazła się przed wejściem do Tryad, zatrzymała się, aby obejrzeć namalowane tuż przed nim pole do gry w klasy.

- I jak mamy wyglądać profesjonalnie, jeśli przed wejściem do naszego biura namalowano na chodniku klasy? - zapytała małe sąsiadki.

- Ale starałyśmy się rysować jak najładniej - zapewniła jedna z nich szalenie poważnie.

- Poza tym to tylko kreda, więc po deszczu nie będzie ani śladu - dodała druga.

Susannah roześmiała się wesoło, po czym zwinnie przeskoczyła przez kolejne pola. Nie miała wątpliwości, że moda na grę w klasy minie za parę tygodni, zaś posiadanie zaprzyjaźnionych sąsiadów, nawet w bardzo młodym wieku, jest daleko bardziej istotne niż kwestia czystości chodnika.

Odruchowo podniosła dłoń i pomachała nią w kierunku okna budynku, stanowiącego bliźniaczą połowę kamienicy, w której mieściła się Tryad. Nie zdziwiło jej, że wisząca tam firanka poruszyła się gwałtownie, za to zdumiała ją niepomniernie, że

ręka pani Holcomb uniosła się w nieśmiałym geście, przypominającym pozdrowienie. Wprawdzie w normalnych okolicznościach takie skinienie dłonią nie byłoby niczym nadzwyczajnym, ale w przypadku pani Holcomb stanowiło milowy krok w sąsiedzkich stosunkach, jako że Susannah miała okazję widzieć ją tylko raz w ciągu trzech lat, odkąd urządziły w tej kamienicy siedzibę Tryad.

W biurze panowała cisza, nie mruzczały komputery, nie dzwonił telefon ani nie było słychać rozmów. Biurko Rity było starannie uprzątnięte, zaś w pudełku, przeznaczonym na korespondencję adresowaną do Susannah, nie czekał ani jeden list; co oznaczało, że nie była bardziej zawałona pracą, niż to miało miejsce przed pogrzebem Cyrusa. Oczywiście miała dodatkowo do wykonania zadanie, jakie wyznaczył jej tego popołudnia Pierce. Wprawdzie wycena dzieł sztuki nie należała raczej do obowiązków specjalisty od public relations, ale w innych okolicznościach nie oponowałyby specjalnie, ponieważ od zawsze interesowała się sztuką. Gdyby więc miała więcej wolnego czasu, a na biurku mniej pilnych projektów...

- Nie oszukuj się, Miller - mruknęła sama do siebie. - Gdyby nie dotyczyło to Marcusa Herringtona, na pewno chętnie wygospodarowałybyś trochę czasu.

Weszła powoli po schodach na pierwsze piętro, by zajrzeć do swego gabinetu, gdzie na biurku piętrzyły się stosy papierów, które zostawiła, wychodząc na pogrzeb. Znajdował się tam między innymi projekt, który miała następnego dnia przedstawić klientowi, a który należało ostatecznie dopracować, nie miała jednak ochoty spędzić nad nim wieczoru.

Zdjęła kapelusz i energicznym ruchem rzuciła go na kanapę, na której drzemała spokojnie pręgowana kotka, mieszkująca

w Tryad. Zwierzę otworzyło jedno żółte oko, by posłać jej niechętnie spojrzenie, więc Susannah uśmiechnęła się pojednawczo i udała się do gabinetu Kit, którego okna wychodziły na Park Lincoln. W pomieszczeniu panował nienaturalny porządek, a powietrze było nieco nieświeże, toteż od razu otworzyła okno. Ułożyła się wygodnie na sofie, myśląc o tym, jak bardzo pragnęłaby móc zwierzyć się przyjaciółce ze swych problemów, poprosić o opinię na temat pomysłów, jakie ostatnio przyszły jej do głowy.

- A więc, co zrobiłaby Kitty, gdyby znalazła się na moim miejscu? - zapytała głośno.

Oczywiście to pytanie nie miało najmniejszego sensu, ponieważ rozsądna, prostolinijna Kit nigdy w życiu nie pozwoliłaby się wpędzić w takie kłopoty. Poza tym Kit była przejrzysta jak szkło, nie miała żadnych tajemnic, a kiedy się zakochała, zarówno Susannah, jak i Alison, od razu to spostrzegły, mimo iż sama zainteresowana nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy.

Na Alison również nie mogła tym razem liczyć, bo choć przyjaciółka miała niesłychany dar przewidywania, to na pewno nie byłaby w stanie pojąć, jakim cudem Susannah, nawet w wieku lat osiemnastu, mogła być tak naiwna, krótkowzroczna i niepraktyczna. Zresztą, nawet gdyby próbowała wytłumaczyć przyjaciółce, co zaszło przed ośmiu laty między nią i Markiem, nie wiedziałyby od czego zacząć. Dlatego też tym razem była zdana wyłącznie na siebie.

A może przesadzam, zastanawiała się, siedząc w półmroku, nie zauważyła bowiem nawet, że słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Może Marc, wbrew temu, co powiedział, nie zamierza brać udziału w wycenie kolekcji Cyrusa? Może najzwyczajniej w świecie podpuszczał mnie, chcąc ujrzeć moją reakcję?



Przecież dokładne obejrzenie obrazów i oszacowanie wartości tak ogromnej kolekcji zajmie jej parę miesięcy, zwłaszcza że nie może przecież porzucić innych zobowiązań. Niemożliwe, żeby Marc mógł wziąć aż tak długi urlop.

Swoją drogą ciekawe, czym się teraz zajmuje, zastanawiała się. Kiedyś był spawaczem w fabryce, produkującej maszyny rolnicze, teraz być może awansował na jakieś kierownicze stanowisko, bo na jego dłoniach nie było śladu odcisków. Ciekawe, nawiasem mówiąc, jak zdołała to zauważyć podczas ich krótkiego spotkania? Do wizerunku Marcusa, jaki sobie wytworzyła, nie pasował tylko ten elegancki garnitur w prążki. Tym bardziej że Marc, którego znała przed laty, nigdy by czegoś takiego nie włożył. Oczywiście, tamten człowiek należał wyłącznie do przeszłości, zaś tego, którego spotkała, należało traktować jak każdego innego klienta.

Prezentacja, którą przygotowywała, zaplanowana była na piątkowe popołudnie, dzięki czemu nie miała czasu zastanawiać się nad tym, jak dokonać wyceny obrazów Cyrusa. Dlatego też z niejakim zadowoleniem skoncentrowała się na opracowywaniu strategii kampanii, dotyczącej wycofania z rynku źle zaprojektowanego modelu dziecięcego fotelika samochodowego. Musiała wymyślić sposób, aby dotrzeć do osób, które go kupiły, nie wywołując przy tym powszechnej paniki ani nie narażając producenta na utratę dobrego imienia.

Po spotkaniu z klientem, który w pełni zaaprobował jej propozycję, postanowiła uczcić ten sukces, biorąc taksówkę, by wrócić nią do siedziby Tryad. Faktycznie, udało jej się zupełnie zapomnieć o problemie kolekcji Cyrusa Albrechta, przypomniała sobie dopiero, co ją czeka, gdy sięgnąwszy do torebki, przy-

Skan i ebook pona

padkiem znalazła w niej niewielką kopertę, którą tego popołudnia wręczyła jej Rita. Na odwrocie widniało nazwisko Joe Brewstera, zaś przez gruby, elegancki papier dał się wyczuć kształt klucza. Bez wątpienia był to klucz do domu Cyrusa, tak więc zbliżał się moment podjęcia decyzji, co ma zrobić, chcąc uczciwie oszacować wartość obrazów, a jednocześnie zadowolić Pierce'a oraz radę nadzorczą Dearborn Museum. Na szczęście w poniedziałek Marcusa Herringtona dawno już nie będzie w Chicago, pocieszała się w duchu. Zresztą pewnie już go nie ma, bo w przeciwnym razie Joe Brewster nie przysłałby jej klucza. Rzecz jasna, nie miała zamiaru tego sprawdzać, bowiem liczyła na spokojny, wolny od zmartwień weekend.

Zapłaciła taksówkarzowi za kurs, po czym wyciągnęła rękę w kierunku klamki, ale nie zdążyła jej nawet dotknąć, gdy drzwi otworzyły się od zewnątrz. Ale się komuś spieszy, pomyślała z przekąsem. Mógłby przynajmniej zaczekać, aż wysiądę.

Istniało duże prawdopodobieństwo, iż osoba, która w tej okolicy próbuje złapać taksówkę, jest klientem Tryad, toteż zachowała dla siebie zgryźliwy komentarz.

- Cieszę się, że zjawiłam się w samą porę - powiedziała uprzejmym głosem, stawiając stopę na chodniku.

- Rzeczywiście, w samą porę - zgodził się głęboki męski głos.

Susannah zachwiała się z wrażenia i klapnęła z powrotem na siedzenie auta.

- Tylko że teraz, kiedy tu jesteś, nie potrzebuję taksówki - ciągnął Marc. - Pozwolisz, że pomogę ci wysiąść, bo zdajesz się mieć z tym niejakie problemy.

Tego dnia przypominał dawnego Marcusa, ubrany był bo-

wiem w sprane dzinsy oraz cienką bluzę, która uwydatniała jego muskularną budowę.

- Co ty tu robisz? - zapytała, stając obok niego na chodniku.

- Nie sądzisz, że mamy kilka kwestii do omówienia? - odparł pytaniem na pytanie.

Przypomniało jej się stwierdzenie Pierce'a, że podczas ich ostatniego spotkania Marc spoglądał na nią jak wygłodniały wilk na smakowity kęs. Zerknęła na niego ukradkiem, by się przekonać, czy to prawda, ale nic takiego nie zauważyła. Wręcz przeciwnie, nawet w jego głosie słuchać było kompletny brak zainteresowania nią jako kobietą.

- Nie mam pojęcia, o czym mielibyśmy rozmawiać - powiedziała chłodno. - Jeśli zastanawiasz się, czy specjalistka od public relations ma odpowiednie kwalifikacje, aby zająć się wyceną dzieł sztuki...

- Ależ skądże znowu - przerwał jej z nie skrywaną drwiną w głosie. - Nie mnie to oceniać. Poza tym pochodzisz z tak doskonałej rodziny, że zapewne samo urodzenie jest gwarancją wnikliwej wiedzy o sztuce.

Z doskonałej rodziny... Przez moment zastanawiała się, czy Marc zna prawdę, ale doszła do wniosku, że to absolutnie niemożliwe.

- Zostawiłem ci wiadomość, że chciałbym porozmawiać o dawnych czasach - ciągnął. - Wasza sekretarka była przekonana, że będziesz niepokieszona, minąwszy się ze mną.

Gdybym tylko przyjechała pięć minut później, pomyślała z żalem. Wystarczyłoby zaledwie pięć minut...

Firanka w oknie pani Holcomb uniosła się nagle, a za szybą ukazała się pomarszczona twarz. Susannah była wstrząśnięta, bowiem zwykle sąsiadka obserwowała je dużo dyskretniej. Jeśli

więc nawet starsza pani była aż tak zainteresowana widokiem jej i Marcusa, to co powiedzieć o Ricie oraz Alison, które w każdej chwili mogły podejść do okna. Rzecz jasna, tym bardziej nie mogła z nim wejść do Tryad, bo wtedy nie byłoby końca niewygodnym pytaniom.

- Za rogiem jest niewielka restauracyjka - oznajmiła wreszcie z rezygnacją w głosie. - Masz ochotę na kawę?

- Już myślałem, że nigdy nie zapytasz - westchnął zadowolony. - Czy mogę ponieść ci teczkę?

Podawała mu ją bez słowa, ale udawała, że nie widzi, gdy wyciągnął ku niej ramię. Mimo wszystko zaskoczyła ją ta uprzejmość, nie przypominała sobie bowiem, żeby kiedyś zachowywał się po dżentelmeńsku. Chociaż, z drugiej strony, mało było prawdopodobne, żeby jako zbuntowana przeciwko rodzicom nastolatka dostrzegła jego dobre maniere.

Obsługująca ich kelnerka uśmiechała się do Marcusa czarująco, co, nie wiedząc czemu, zirykowało Susannah niepomiernie.

- Chciałeś porozmawiać o dawnych czasach - przypomniawszy, wlewając śmietankę do filiżanki z kawą. - W takim razie powiedz, co robiłeś przez ostatnie osiem lat? Gdzie teraz pracujesz?

- Nadal w przemyśle - odparł, wyciągając przed siebie splecione dłonie. Niegdyś często wykonywał ten gest, tłumacząc, że w jego zawodzie sprawne dłonie to podstawa.

- W takim razie spawaczom musi się dziś nieźle powodzić, skoro stać cię na tak drogi garnitur, jaki miałeś wczoraj na sobie - zauważyła ironicznie.

- Podobał ci się? Kupiłem go specjalnie na tę okazję.

- A więc to dlatego opóźniono pogrzeb? Żebyś zdążył zrobić zakupy? Miło, że tak wysoko ceniłeś sobie Cyrusa.

- Szczerze mówiąc, nigdy go nie spotkałem - wyznał.

Czyli jednak nie miała racji, sądząc, że Marc jest nie tylko spadkobiercą, ale i synem Cyrusa, o ile bowiem pamiętała, mieszkał on z obydwójkiem rodziców.

- A jak się miewa twoja córeczka? - zapytał niespodziewanie po dłuższej chwili milczenia.

Pytanie to niesłychanie ją zaskoczyło, ale nie dlatego, że się go zupełnie nie spodziewała. Wręcz przeciwnie, była pewna, że prędzej czy później padnie z jego ust. Tylko dlaczego ubzdurał sobie, że to dziewczynka?

- Nie mam córki - odparła krótko.

- Naprawdę? - zdziwił się. - Wydawało mi się to oczywiste, że skoro przed wejściem do Tryad narysowano pole do gry w *Masy, a zabawami tego typu pasjonują się dziewczynki mniej więcej w tym wieku, to...*

- Prawdziwy z ciebie Sherlock Holmes - prychnęła. - Ale nie masz racji, bo klasy narysowały dziewczynki z sąsiedztwa, ponieważ przed wejściem do Tryad chodnik jest najszerszy w całej okolicy.

- A więc masz syna? - nie dawał za wygraną.

- Przykro mi cię rozczarować, ale nie. - Potrząsnęła energicznie głową.

- Bardziej już niż osiem lat temu rozczarować mnie nie możesz - oznajmił, mieszając kawę. - Ale chętnie dowiem się, co się stało. Czyżbyś miała szczęście i poroniła? A może po cichu oddałaś dziecko do adopcji?

- To nie twoja sprawa - burknęła.

- W takim razie będę musiał zapytać Pierce'a.

- On o niczym nie wie.

- Tym lepiej, porównamy informacje.

- Proszę bardzo. - Wzruszyła ramionami. - Czy jest jeszcze coś, co chciałbyś wiedzieć?

- Pewnie jeszcze coś by się znalazło, ale teraz nic nie przychodzi mi do głowy - odrzekł.

- Lepiej się dobrze zastanów, bo nie wiem, kiedy się następnym razem zobaczymy - poradziła.

- O! A skąd ten wniosek? - zainteresował się.

- Przypuszczam, że powinieneś wkrótce wrócić do swych obowiązków. Masz chyba do czego wracać, prawda?

- To znaczy do pracy, żony, dzieci i spłaty kredytu? - upewnił się.

Żony? Dzieci? A więc ożenił się. Cóż, miał przecież prawo założyć rodzinę, czyż nie? Powędrowała spojrzeniem ku jego prawej dłoni, spoczywającej na stole. Nic nie miał na palcu, ani też nie dopatrzyła się żadnego bledszego śladu w miejscu, gdzie nigdy mogła być ślubna obrączka.

Spuścił wzrok, jak gdyby chciał sprawdzić, co przykuło jej uwagę, po czym ostentacyjnie wyciągnął ku niej prawą dłoń.

- Widzę, że ciągle ci w głowie obrączki - zadrwił. - Przykro mi, ale cię rozczaruję.

- Rozumiem, kiedy się pracuje przy maszynie, lepiej nie nosić obrączki, żeby nie urwało palca.

- Owszem. - Skinął głową. - A oprócz tego to doskonały pretekst, żeby móc udawać kawalera. Mimo wszystko jednak nie masz racji, zostanę tu jakiś czas. Jeśli chodzi o żonę, to wiesz, jak to jest, czasem krótkie rozstania bywają budujące, a co do dzieci, to chyba z własnego doświadczenia wiesz, że można je po prostu zostawić.

Była zbyt zszokowana, by cokolwiek odpowiedzieć na to bezpodstawne oskarżenie.

- Jeśli zaś chodzi o pracę i spłatę kredytu - ciągnął - to jeśli się otrzyma tak wielki spadek, przestają się liczyć. Poza tym muszę się bronić przed sępami.

- Gzy masz na myśli mnie? — wycodziła przez zaciśnięte zęby.

- Skądże znowu! Ale jest takie powiedzenie o uderzeniu w stół i o nożycach, prawda? W każdym razie, pomyślałem, że lepiej mieć wszystko na oku, więc postanowiłem zostać na trochę w Chicago.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Mimo że cały czas Susannah miała nadzieję, iż Marc nie zostanie na długo w Chicago, nie była specjalnie zdziwiona tym, co przed chwilą usłyszała. Bądź co bądź, nawet na pierwszy rzut oka można się było przekonać, że posiadłość Cyrusa warta jest fortunę. Już sobie wyobrażała pierwsze wrażenie, jakie zrobił na Marcusie ogromny wiktoriański dom, lśniące meble, orzechowe schody oraz niezliczone dzieła sztuki. Pamiętała jego pełne podziwu gwizdnięcie, jakim zareagował, gdy przed laty, w ów pamiętny weekend, przybyli do jej rodzinnego domu, a przecież posiadłość Millerów była zdecydowanie skromniejsza.

Nic więc dziwnego, że kiedy zdał sobie sprawę, jak ogromny majątek odziedziczył, postanowił sam dopilnować, by wszystko zostało wykonane jak należy i aby suma, jaką otrzyma w wyniku sprzedaży domu, nie została uszczuplona przez jakiegoś nieuczciwego pełnomocnika. Zwłaszcza że nawet roczne dochody spawacza nie mogły się w najmniejszym stopniu równać z tak ogromnym majątkiem.

- Oczywiście - mruknęła, starając się ukryć niezadowolenie. - Należy dbać o swe interesy.

- Dziękuję, że podzieliłaś się ze mną swym życiowym mottem - prychnął.

Już otwierała usta, żeby zaprotestować, ale zamknęła je po-



nownie, wiedziała bowiem, że protesty na nic się tu nie zdadzą. Marc już dawno wyrobił sobie zdanie na jej temat i nie było takiej siły, która mogłaby zmusić go do zmiany opinii. Zresztą, mógł sobie myśleć na jej temat, co tylko mu się podobało, jej i tak to nic a nic nie obchodziło.

- Masz słuszność - ciągnął. - I na pewno zachowam w pamięci twoją radę, gdy będę sprzedawał dom Cyrusa. Ciekawe, ile to wszystko potrwa? Pewnie nie krócej niż rok... Może jeszcze kawy?

Potrząsnęła przecząco głową, czując, jak pryskają jej nadzieje na rychłe zniknięcie Marcusa Herringtona z jej życia. Musiała jednak przyznać, iż była naiwna, sądząc, że nastąpi to wkrótce, bo przecież wycena tak ogromnego majątku musi zająć mnóstwo czasu. Z drugiej strony, *jej rola w całym tym procesie była stosunkowo niewielka*, a w dodatku w dużym stopniu polegała na siedzeniu w bibliotece i przekopywaniu się przez stopy książek o sztuce.

- Doskonale - mruknął Marc, wstając.

Susannah postąpiła nierozsądnie i podniosła na niego wzrok, przez co miała okazję przyjrzeć się jego szerokim, pięknie zbudowanym ramionom, a także zgrabnej sylwetce. Widok ten zaparł jej dech w piersiach, co wyjątkowo ją zirytowało.

- W takim razie do zobaczenia w poniedziałek - dokończył.  
- Chyba że masz ochotę spędzić weekend w moim towarzystwie...

W chwili gdy mówił te słowa, odwróciła się, by sięgnąć po torebkę, ale kiedy tylko dotarło do niej, co powiedział, ponownie na niego spojrzała.

- Oglądając obrazy Cyrusa, oczywiście - uzupełnił. - Na Boga, a tobie się zdawało, że co mam na myśli?

Oczywiście Susannah doskonale wiedziała, co chciał przez to powiedzieć. Proponował jej spędzenie wspólnie dwóch dni, poświęconych bynajmniej nie inwentaryzacji dzieł sztuki. Reagując takim zdumieniem i niemym oburzeniem, wpadła wprost w jego pułapkę. Dziwne, dawny Marc nigdy nie ośmieliłby się składać jej dwuznacznych propozycji. Wprawdzie całował tak, że w jednej chwili zapominała o całym świecie, lecz nie pozwalał sobie na żadne mniej lub bardziej zawoalowane aluzje. Nie przeszłoby mu również przez myśl, aby wpędzić ją w pułapkę czy też specjalnie zawstydzić. Obecny Marc był cyniczny, przebiegły i bardzo niebezpieczny, dlatego im szybciej zapomni o mężczyźnie, jakim kiedyś był, zaś przyzwyczai się, iż teraz należy w jego towarzystwie mieć się na baczności, tym lepiej dla niej,

Cały weekend spędziła na obmyślaniu, tak na wszelki wypadek, ciętych ripost na jego ewentualne propozycje. Z niejakim przestraczeniem zastanawiała się, co przyniesie poniedziałek, jakiemu wyzwaniu przyjdzie jej sprostać. Wyrzucała sobie, że w ogóle zgodziła się pojawić w domu Cyrusa. Rzecz jasna, był to efekt manipulacji, ponieważ tak bardzo chciała dać mu jasno do zrozumienia, iż nie ma zamiaru spędzić z nim weekendu, że nie zaprotestowała, gdy wyznaczył spotkanie na ten właśnie dzień.

Zresztą, może i lepiej, że zacznie jak najszybciej, bo w ten sposób wcześniej zdoła się uporać z tym trudnym zadaniem. Jak najprędzej sporządzi listę obrazów, a potem uzupełni ją, przeglądając zbiory biblioteki Dearborn Museum.

Poniedziałek zaczął się, niestety, fatalnie, ponieważ spóźniła się na cotygodniowe spotkanie współwłaścicielki Tryad Public Relations. W dodatku tym razem nie miała już żadnej wymów-

ki, a nie mogła przecież wyznać Alison otwarcie, że nie zjawiała się na czas, ponieważ przed wyjściem trzy razy zmieniała fryzurę, zanim wreszcie zdecydowała się na gładki kok. Oczywiście było to nic w porównaniu z innym odwiecznym kobiecym problemem, jaki nękał ją tego ranka, a mianowicie z kwestią, co na siebie włożyć. Sukienka, w którą początkowo się ubrała, wydała jej się nagle zbyt krótka, ulubiona bluzka - zbyt przezroczysta i prowokująca. Naturalnie zdawała sobie sprawę, że jest po prostu przewrażliwiona i tak naprawdę nie ma nic złego w tych strojach, ale mimo to zdecydowała się wreszcie na skromny, ale elegancki granatowy kostium.

- Przepraszam za spóźnienie, Ali - zaczęła, zbliżając się do stolika. - Nie uwierzysz, ale... - Urwała na widok siedzącej naprzeciw Alison kobiety. - Kitty! - wykrzyknęła radośnie. - Wróciłaś!

- Czyżbyś miała co do tego jakiegokolwiek wątpliwości? - Trzecia ze współpracownic uniosła brwi. - Popatrz, zapomniała, że miałam wrócić w tym tygodniu - zwróciła się do Alison.

- To nie jedyna rzecz, o której ostatnio zapomniała - zauważyła tamta.

- To prawda - zgodziła się Kit. - Od jak dawna spotykamy się co piątek u Flanagana, żeby omówić sprawy, którymi zajmowaliśmy się przez ubiegły tydzień?

- Trzy lata i... Policzmy - zastanawiała się głośno Alison. -I sześć miesięcy. Czyli odkad założyłyśmy firmę.

- Właśnie, i nigdy dotąd nie zdarzyło jej się zapomnieć o spotkaniu - przypomniała Kit.

- I tym razem też nie zapomniałam - wtrąciła się Susannah. - Byłam okropnie zajęta, a kiedy dotarłam do baru, już cię nie było.

Rzeczywiście, przez pół godziny po wyjściu Marcusa z restauracji siedziała nad pustą filiżanką, rozmyślając, jak powinna postąpić. Gdy przypomniała sobie, że jest piątkowe popołudnie, natychmiast zerwała się z miejsca i pobiegła do baru, ale właściciel poinformował ją, że Alison niedawno wyszła.

- Była okropnie zajęta - powtórzyła z naciskiem Kit. - Ciekawa historia...

- A czy zauważyłaś, że ubrała się dziś w kostium, który wkłada tylko wtedy, gdy mamy zrobić dobre wrażenie na bankierach i adwokatach? - Alison zwróciła się do Kit. - Ciekawe, czemu włożyła go w zwykły poniedziałek...

- Dajcie spokój - westchnęła Susannah. - Poza tym nie musicie mówić o mnie tak, jak gdyby mnie tu nie było.

- Zaczynamy się już do tego przyzwyczajać - oznajmiła Alison. - To dlatego w piątek nie zapisałyśmy w sprawozdaniu ze spotkania, kto nie był na nim obecny.

- To byliście tam obydwie? - zdziwiła się. - Flanagan nic mi nie powiedział.

- Wzięłyśmy poza tym pod uwagę, że mężczyzna, który tak cię zaabsorbował, nie wyglądał, zdaniem Rity, na seryjnego zabójcę.

- Seryjni zabójcy zwykle nie wyróżniają się niczym szczególnym, bo w przeciwnym razie nie można by ich było nazwać seryjnymi - zauważyła logicznie Susannah.

- W takim razie przyznaj się, kim jest Marcus Herrington? - Kit nie dawała jej spokoju.

- Ależ, Kitty, dopiero co wróciłaś z podróży poślubnej, a już inni faceci ci w głowie? - udała oburzoną.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

- Miałam nadzieję, że to zauważysz - oznajmiła Susannah, po czym skinawszy na kelnerkę, zamówiła filiżankę herbaty.

- Zgoda, skoro nie chcesz o nim rozmawiać, nie będę się dopytywać - ustąpiła przyjaciółka. - Ale pamiętaj, że gdy tylko nabierzesz ochoty do zwierzeń, Ali i ja czekamy z niecierpliwością - dodała, klepiąc ją lekko po rękę.

Wprawdzie Kit wypowiedziała to pełnym serdeczności głosem, ale nie uszło uwagi Susannah, że w oczach przyjaciółki pojawiły się iskierki, które oznaczały, że jako świeżo upieczona małżonka, Kit skłonna jest dostrzegać oznaki miłości w najmniej odpowiednich sytuacjach. Jednak w tym przypadku myliła się w stu procentach.

Żelazna brama, otwierająca się na drogę prowadzącą do domu Cyrusa Albrechta, okazała się być zamknięta.

- Może mimo wszystko mam szczęście i nie zastanę tam nikogo prócz ducha Cyrusa - mruknęła do siebie Susannah, przechodząc przez niewielką boczną furtkę.

Podeszła do masywnych drzwi wejściowych i zadzwoniła. Z holu dobiegł ją stłumiony niski dźwięk dzwonka, po czym zapadła cisza. Zadzwoniła jeszcze raz, ponownie bez rezultatu, więc wydobyła z torebki klucz, przesłany jej przez Joe Brewstera.

- Zmarnowałam dwa dni, zastanawiając się, jak się zachować, a tymczasem jego w ogóle nie ma - westchnęła.

Złowróbne dźwięki sygnału alarmowego wystraszyły ją nieco, toteż pospiesznie wyjęła kartkę z instrukcją, jak ma owo urządzenie wyłączyć. Gdy jej się to wreszcie udało, westchnęła z ulgą i potarła obolałe uszy.

Płótno Evansa Jacksona wciąż wisiało na honorowym miej-

scu w holu, choć Susannah spodziewała się znaleźć je na schodkach przed głównymi drzwiami. W domu panowała głucha cisza, jak gdyby żywa dusza nie mieszkała tam od miesięcy. Czyżby jednak Marc rzeczywiście wyjechał? Może zatęsknił za rodziną? Był wprawdzie cyniczny i szalenie pewny siebie, ale jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby mógł tak po prostu zostawić żonę i dzieci. Chociaż tak naprawdę, fakt, iż pozostał w Chicago, wcale nie oznaczałoby, że nie interesuje się rodziną. Wręcz przeciwnie, przecież zajmując się osobiście przebiegiem sprzedaży domu i kolekcji Cyrusa, troszczy się o dobro swych najbliższych.

Pochłonięta rozmyślaniami, powędrowała po szerokich schodach na pierwsze piętro, a znalazłszy się tam, otworzyła pierwsze drzwi na lewo, postanawiając, że dobrze będzie, jeśli na wstępie obejrzy wszystkie pomieszczenia i zorientuje się, ile pracy faktycznie ją czeka.

Pokój, w którym się znalazła, nie był sypialnią, jak się spodziewała, lecz gabinetem, gdzie przy kominku stały dwa przepastne skórzane fotele, zaś miejsce przy oknie zajmowało obszerne biurko. Za biurkiem, nienaturalnie pochylony nad blatem, siedział Marc... Susannah zamarła. Poniżej jego ramienia na bordowym materiale szlafroka widniała spora rdzawa plama...

Podbiegła do biurka, chcąc przyjrzeć się temu bliżej. Tymczasem on niespodziewanie podniósł się, czym ją tak przestraszył, że aż krzyknęła głośno.

- Dzień dobry, Susannah - odezwał się, nawet nie patrząc w jej kierunku.

W dłoni trzymał zmiętą kartkę papieru, którą położył na biurku, po czym obejrzał dokładnie.

Jej serce waliło wciąż jak szalone, ciągle bowiem nie docierało do niej, że z nim wszystko w porządku.

- Myślałam - wykrztusiła. - Myślałam, że...

Marc wstał, by obejść biurko, a wtedy ciemnoniebieska plama padła na biały papier. Była to ta sama plama, która na bordowym szlafroku wyglądała na rdzawoczerwoną. Susannah podniosła głowę i spostrzegła, że wysokie okno zwieńczone jest witrażem, którego centrum stanowił intensywnie niebieski medalion.

- Podeszłaś bliżej, żeby sprawdzić, czy twoje marzenia jakimś cudem zostały spełnione i zadźgano mnie nożem do papieru? - zadrwił. - Obawiam się, że jeśli tak, to powinnaś zacząć czytać inne książki to poduszki.

Miał szczęście, że na horyzoncie nie widać było żadnego noża do papieru, bo pokusa mogłaby okazać się dla niej zbyt silna. I jakim prawem krytykował jej lekturę?!

- To przez tę pozycję, w której siedziałeś - odparła chłodno. - A może specjalnie tak się usadowiłeś, kiedy usłyszałeś moje kroki na schodach?

- Dla twojej wiadomości: nie słyszałem żadnych kroków. Próbowałem po prostu sięgnąć dna najniższej szuflady, bo wiedziałem, że utkwiał tam jakiś papier. - Spojrzał ponownie na kartkę, leżącą na biurku. - Oczywiście po tym, jak zadałem sobie tyle trudu, żeby go wyjąć, okazało się, że to lista rzeczy do pralni.

Teraz, kiedy już wiedziała, że nic strasznego się nie stało, czuła, jak ogarnia ją gniew.

- Nie otworzyłeś mi drzwi, mimo że dzwoniłam dwa razy - ciągnęła oskarżycielskim tonem. - Nic więc dziwnego, że kiedy znalazłam cię tutaj, w tak nienaturalnej pozycji...

- Czyżbyś się przejęła? - W jego oczach zalśniły niebezpieczne iskierki.

- Tylko dlatego, że byłabym główną podejrzaną - odparowała. - Skąd mogłam przypuszczać, że jesteś zbyt leniwy, aby otworzyć drzwi?

- Wiedziałem, że masz klucz, a nie spodziewałem się nikogo innego. - Wzruszył ramionami.

- To widać - burknęła, spoglądając znacząco na jego strój.

W lekko obcisłym szlafroku wyglądał na jeszcze lepiej zbudowanego, niż sądziła. Wycięcie w kształcie litery V ukazywało opaloną przez hawajskie słońce klatkę piersiową. Przy każdym ruchu poły szlafrocka nieco się rozsuwały, ukazując muskularne uda, co przyprawiało ją o rumieniec. Dawny Marc nigdy nie zachowywałby się w ten sposób, ponieważ brakowało mu tej pewności siebie, jakiej nabrał w ciągu ostatnich ośmiu lat.

Miałaś zapomnieć, że w ogóle znałaś go kiedykolwiek, upomniała się w duchu. Zresztą, nie miała czasu rozmyślać o tym Marcusie, ponieważ całą jej uwagę absorbował obecny Marc, mężczyzna szalenie intrygujący, a zarazem działający jej na nerwy.

- Chodzi ci o mój ubiór? - upewnił się, przestępując z nogi na nogę, tak że poły szlafrocka rozchyliły się jeszcze bardziej. - Nie wiem, czemu sądzisz, że nie przyjmuję gości w takim stroju. Tym razem jednak powód jest prozaiczny, po prostu tak zająłem się przeglądaniem papierów Cyrusa, że nie zdążyłem się przebrać. Powinnaś się cieszyć, że nie pobiegłem po ubranie, słysząc dzwonek do drzwi.

- A to dlaczego?-wyrwało jej się.

- Bo przyszłaś prosto do mnie, jak oswojony gołąb, który



zawsze wraca do domu - wyjaśnił łagodnym głosem. - Zapewne czułabyś się jeszcze bardziej niezręcznie, gdybyś zastała mnie...

- ...w stroju Adama? - podsunęła ironicznie. - Dobrze, że przynajmniej jedno z nas czułoby się zażenowane. Ale teraz nie przeszkadzaj sobie, powiedz tylko, którą sypialnię zajmujesz, a będę ją omijała z daleka.

- Czujesz się tu jak u siebie? - zapytał nagle.

- Przypadek sprawił, że tu weszłam. Nigdy jeszcze nie byłam na piętrze... - Urwała, gdy dotarło do niej, co miał przez to na myśli. - Jak śmiesz insynuować...

- Twój szef powiedział, że mnie wspomozesz, jeśli chodzi o moją nową kolekcję dzieł sztuki, więc sądziłem, że w przypadku Cyrusa sytuacja była podobna.

Królestwo za nóż do papieru, pomyślała z wściekłością.

- Na twoim miejscu nie rzucałbym czymś takim - ostrzegł.

Opuściła wzrok, by spostrzec, że w dłoni trzyma kryształowy przycisk na biurko. Ciekawe, jak on się znalazł w jej ręku?

Wiedziała doskonale, że Marc liczy na to, iż wpadnie w złość, będzie się tłumaczyła, aż wreszcie złapie się w zastawioną przez niego pułapkę. Jego niedoczekanie! Nie była przecież aż taka ślepa.

- Pierce nie jest moim szefem - sprostowała spokojnym głosem. - Jest moim klientem.

- Oczywiście - mruknął, wsuwając dłonie do kieszeni, przez co poły szlafroka rozchyliły się jeszcze bardziej.

Susannah miała wrażenie, że w domu panuje absolutna cisza, ponieważ słyszała oddech Marcusa, mimo że był on lekki i swobodny.

- Czy Cyrus nie miał służby? - zmieniła temat.

- Miał, ale dałem im wszystkim urlop.

- Krępowała cię ich obecność? - domyśliła się.

- Punkt za wnikliwość. - Uśmiechnął się ironicznie. - Nie pasują do mojego stylu.

- Nic dziwnego. Z tego, co widziałam podczas przyjęcia po pogrzebie, wszyscy są dobrze po siedemdziesiątce. Niech by cię gospodyni zobaczyła w tym szlafroku, a zawał serca muryrowany.

- Rzeczywiście, z sercem nigdy nie wiadomo - zgodził się, po czym posłał jej wymowne spojrzenie.

- Gdybyś mnie potrzebował, będę pracować na dole - powiedziała, zapragnawszy nagle znaleźć się jak najdalej od niego. Miała nadzieję, że poranna toaleta zajmie mu tyle czasu, iż będzie mogła spokojnie skupić się na swoich obowiązkach.

Rzeczywiście, zdążyła już obejrzeć obrazy, wiszące w trzech pomieszczeniach, gdy na schodach rozległy się jego kroki. Słyszając je, poczuła ulgę, bowiem obawiała się cały czas, że w pewnym momencie bezszelestnie zajdzie ją od tyłu i zaskoczy jakimś ciętym komentarzem.

Zerknęła za siebie. To, co ujrzała, sprawiło, iż na krótką chwilę jej serce przestało bić. Przycisnęła do piersi notatnik, starając się patrzeć wszędzie, tylko nie na mężczyznę, który tak bardzo w tym momencie przypominał jej ukochanego sprzed ośmiu lat. Ubrany był w jeszcze bardziej wypłowiałe dżinsy niż te, które miał na sobie w piątek, oraz wyciągniętą koszulkę ozdobioną napisem, kpiącym z wielkich koncernów, zaś jego ciemne włosy były jeszcze wilgotne po kąpieli. Tak właśnie wyglądał ów Marc, który przed laty całował ją do utraty tchu, niemalże wielbił ślady jej stóp, a w końcu zostawił ją bez słowa.

I lepiej, żebyś o tym nie zapomniała, nauczyła samą siebie

w myśli, próbując z całej siły skupić się na wiszącym przed nią obrazie. Niestety, nie była nawet w stanie określić, czy jest to pejzaż, czy może portret.

Marc stanął tuż za jej plecami, tak że czuła na karku jego ciepły oddech. Owionął ją delikatny zapach mydła, który nagle wydał jej się znacznie bardziej zmysłowy niż choćby najdroższa woda kolońska.

- Co ty robisz? - zapytał, wyjmując jej z rąk notes. - I ty to nazywasz inwentaryzacją?

- Sporządzam po prostu listę obrazów, a resztę opracuję, przeglądając albumy w bibliotece muzeum - wyjaśniła spokojnie. - Zapisuję rodzaj obrazu, ogólny opis i nazwisko autora. Czego mi jeszcze potrzeba?

- A co z wymiarami? Z napisami z tyłu obrazu albo znakami na ramie?

- Wątpię, czy znajdziesz gdzieś metkę z ceną - mruknęła z drwiną w głosie.

- A co, jeśli okaże się, że pod spodem jest inny obraz? - nie dawał za wygraną.

- Muszę cię rozczarować, ale w dzisiejszych czasach płótno jest tak tanie, że nikt nie zadawałby sobie tyle trudu, żeby zamalować stare arcydzieło. Zresztą, gdyby znajdowało się tu coś takiego, Pierce z pewnością by mnie o tym poinformował.

- Aha, na pewno by to zrobił - zauważył ironicznie.

Susannah posłała mu podejrzliwe spojrzenie.

- Tak jak poinformował mnie o wartości obrazu Evansa Jacksona - dokończył wciąż tym samym tonem.

Spuściła oczy. Wiedziała, że kłamstwo ma krótkie nogi, żałowała tylko, że Pierce nie mógł sam tego usłyszeć.

- Czyżbyś był miłośnikiem Jacksona?  
- Oczywiście, że nie - obruszył się. - Mówiłem szczerze, co myślę na temat jego wiekopomnego dzieła.

- W takim razie, skąd wiesz, ile jest warte? - zainteresowała się.

- Chyba gdzieś o tym czytałem. - Wzruszył obojętnie ramionami. -A może oglądałem program w telewizji edukacyjnej? Nie pamiętam.

- Mniej więcej rok temu w telewizji był odcinek serii „Arcydzieła”, poświęcony Evansowi Jacksonowi - przypomniawszy sobie. - Pierce nawet brał udział w jego realizacji. Ale nie wydaje mi się, żeby był to twój ulubiony program.

- Teraz pamiętam. Chciałem oglądać mecz baseballowy, ale został odwołany z powodu nie sprzyjającej pogody, więc chcąc nie chcąc, obejrzałem ten program.

- Stamtąd też dowiedziałeś się, że niektórzy artyści zamawiali arcydzieła? - domyśliła się.

- Może i tak - zgodził się. - Ale powróćmy do przerwane- go tematu. Chcę, żebyśmy zrobili prawdziwą inwentaryzację, zdjęli każdy obraz po kolei, sfotografowali, obejrzeliby dokładnie ramę.

Przyjrzała mu się z niedowierzaniem.

- Może napijemy się kawy, zanim weźmiemy się do pracy? - dokończył ze śmiechem.

- Chętnie - westchnęła zrezygnowana.

- Przypomniało mi się właśnie, że nic dziś nie jadłem. Co powiesz na kanapki?

Wyjął z jej rąk notes i wyrwawszy zeń starannie zapisane kartki, zmiął je, po czym wprawnym ruchem wrzucił do znajdującego się przy drzwiach stojaka na parasolki.

- Ale przecież zdążyłam już do tej pory sporo zrobić! - zaprotestowała.

- Lepiej będzie, jak zaczniemy wszystko od nowa. Dzięki temu nie będzie cię kusiło, żeby dopisywać coś niewyraźnie na marginesach, tak by potem łatwo było ponaciągać prawdę. Chodź, drugie śniadanie dobrze ci zrobi.

Bez słowa podążyła za nim do kuchni, choć tak naprawdę chciała uciec, gdzie pieprz rośnie.

Ze zdumieniem odnotowała, że kuchnia jest urządzona nowoczesnie i funkcjonalnie. Co więcej, zauważyła tam wszystkie elektryczne urządzenia, jakie wymyślono, aby ułatwić przyrządzanie posiłków.

Marc wyjął z szuflady duży, ząbkowany nóż, po czym wziął się do krojenia nim bochenka białego francuskiego chleba.

- Siadaj - nakazał, wskazując czubkiem noża wysoki stółek, znajdujący się po drugiej stronie wysokiego stołu.

- Co jeszcze wiesz na temat sztuki? - zapytała, usadowiwszy się posłusznie.

- Zdaje się, że to było pytanie naprowadzające - stwierdził, przyglądając się jej uważnie. - Chcesz mnie wy badać, żeby potem wiedzieć, ile możesz powiedzieć w mojej obecności?

- Skądże, jestem po prostu ciekawa - zaprzeczyła stanowczo.

- Jeśli masz ochotę na piwo, mam kilka butelek - zaproponował, ponownie skupiając uwagę na krojeniu chleba.

- Nie, dziękuję. Słuchaj, jeśli nie chcesz odpowiadać...

- Więc nie odpowiem. Cyrus miał też całkiem sporą piwniczkę z winem - zmienił temat. - Zdaje się, że znajdzie się coś w lodówce. Podaj mi przy okazji wędlinę i sałatę, dobrze? I jeszcze ser żółty, pomidory i zieloną paprykę.

Wyłożyła na stół całą stertę jedzenia, zanim udało jej się wydobyć butelkę białego wina. Nalała sobie kieliszek, z podziwem przyglądając się kanapce, która urosła do gigantycznych rozmiarów. Wreszcie Marc przykrył ją górną połówką chleba, przekroił na dwie części i położywszy je na talerzach, postawił jeden przed Susannah.

- Wygląda apetycznie, ale... - zaczęła niepewnie.

- I smakuje wybornie. Wiem coś o przyrządzaniu kanapek, przecież od tylu lat sam przygotowuję sobie drugie śniadanie do fabryki.

Nie usłyszała w jego głosie nawet najdrobniejszej nuty ironii, było to po prostu stwierdzenie faktu. Zawsze go podziwiała, że nie wstydził się swej pracy. Jej koledzy i koleżanki ze studiów potrafili z niego kpić, uważali bowiem jego zajęcie za pospolite i niegodne uwagi, ona jednak nie podzielała nigdy ich zdania. Dlatego też nie mogła teraz patrzeć obojętnie, jak Pierce, przekonany o swej intelektualnej wyższości, próbuje go oszukać.

Sięgnęła po kanapkę, ale nadal nie wiedziała, jak się za nią zabrać, ponieważ z trudem mieściła jej się w dłoniach.

- Marc, muszę ci coś powiedzieć - zaczęła ze ściśniętym gardłem.

Wziąwszy swój talerz, spokojnie usiadł obok niej. Jedyнным znakiem, że dosłyszał napięcie, jakie czaiło się w jej głosie, był fakt, iż lekko uniośł jedną brew.

- Jeśli chodzi ci o to, że twój szef próbował mi wmówić, że obraz Evansa Jacksona nie przedstawia wielkiej wartości, to...

- Mówiłam ci, że Pierce nie jest moim szefem - przerwała mu. - Cyrus zgodził się przekazać swą kolekcję Dearborn Museum - wyrzuciła jednym tchem.

- Joe Brewster nie wspomniał o tym ani słowem. - Lewa brew uniosła się jeszcze wyżej.

- Czy to nie dziwne, że Cyrus nie wyjawiał tych zamiarów swemu prawnikowi?

- Bardzo dziwne - zgodził się. - Nie znalazłem też żadnej wzmianki na ten temat w jego papierach.

- To dlatego, że wyraził dopiero wstępną zgodę - wyjaśniła. - Ale zapewniam cię, że taka faktycznie była jego wola. Wprawdzie spotkałam się z nim zaledwie kilka razy, ale nawet ze mną o tym rozmawiał.

- Ciekawe - mruknął. - Chcesz, żebym uwierzył ci na słowo i przekazał zbiory Dearborn Museum? Czy chodziło o całą kolekcję?

- Tak, całą. Niczego od ciebie nie oczekuję, ale... — Zawiesiła głos. - Chodzi mi o to, że skoro Cyrus tak postanowił...

Przysunął się bliżej, by móc zajrzeć jej głęboko w oczy. W jego spojrzeniu czaiło się niedowierzanie oraz drwina, co nie wróżyło dobrze sprawie przekazania obrazów. Poczwała, że bez względu na to, jakie argumenty wytoczy, skazana jest na przegrana, ponieważ Marc nie pozbędzie się ot tak, dla jej przyjemności, ogromnego majątku.

- Pomyślałam, że wypełniając jego ostatnią wolę, mógłbyś przekazać je nam po umiarkowanej cenie - dokończyła niepewnym głosem.

- A czemu miałbym chcieć spełnić jego ostatnie życzenie? Nawet jeśli rzeczywiście tego chciał, co wydaje mi się mało prawdopodobne, skoro nie zadał sobie tyle trudu, żeby to gdziekolwiek zapisać, czy choćby wspomnieć w rozmowie z Joe Brewsterem... - Urwał, po czym przechylił głowę, jakby nasłuchując. - A niech to, tak mi się zdawało, że o czymś zapomniałem.

Do jej uszu dobiegł dźwięk, przypominający uderzenie gałęzi o drzwi, następnie niskie zawodzenie, aż wreszcie błagalne szczeknięcie.

- Nie przypuszczałam, że Cyrus miał psa - przyznała ze zdumieniem. - Nie wyglądał na miłośnika zwierząt.

- Zdaje się, że to miał być pies stróżujący - wyjaśnił, krzywiąc się.

Z westchnieniem odsunął talerz, po czym wstał i podszedł do drzwi. Gdy je otworzył, do kuchni wpadła złocistoczerwona strzała, która okazała się być seterem irlandzkim. Pies stanął przed swym nowym panem na tylnych łapach, przednie ułożył mu na ramionach i powitał go potężnym psim całusem. Dopiero gdy dopełnił rytuału, podszedł do Susannah, usiadł jej na stopie i wpatrzył się w nią z wyrazem pyska do złudzenia przypominającym uśmiech.

- Rozumiesz teraz, co miałem na myśli? - zapytał Marc. - Jest tępy, ale bardzo oddany i wierny. Wyraźnie doszedł do wniosku, że jestem nowym Cyrusem w jego życiu.

- To jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego mnie tak polubił - zauważyła, próbując jednocześnie uwolnić stopę od ciężaru sporego, bądź co bądź, zwierzęcia. - A może chodzi mu po prostu o moją kanapkę?

- Nie, zdaniem O'Leary'ego poręczyłem za ciebie, wpuszczając cię do domu - wyjaśnił. - Teraz jest już przekonany, że nie mogłabyś zrobić nic złego.

To powiedziawszy, posłał jej wymowne spojrzenie.

- Wspaniale! - zachnęła się. - Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że twoim zdaniem zmyśliłam tę historię...

- Ależ skąd! Myślę, że jest w niej trochę prawdy. - Usiadłszy, sięgnął ponownie po kanapkę. - Jeśli rzeczywiście taka



była wola Cyrusa... Chyba uda nam się jakoś dojść do porozumienia.

Susannah przyglądała mu się rozszerzonymi ze zdumienia oczyma.

- Taaak - mruknął. - Powiedz swojemu szefowi, że zastanowię się nad tym i dam mu znać, dobrze?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Dotarłszy tego popołudnia do Tryad, Susannah czuła się wykończona. Jej elegancki granatowy kostium nabrał od kurzu barwy grafitowej, zaś spuchnięte stopy bolały niemiłosiernie, co było zrozumiałe, bo choć miała na nogach buty na średniej wysokości obcasie, to i tak nie były one przeznaczone do wielogodzinnego stania u stóp drabiny. Zadanie to przydzielił jej Marc, gdy zwróciła mu uwagę, że wąska spódnica zupełnie się nie nadaje do skakania po szczeblach drabiny. Oczywiście, z chwilą, gdy to powiedziała, natychmiast zaczęła żałować, że nie utrzymała języka za zębami, bo pochwyliła jego pełne zachwyty spojrzenie. Zmierzył ją wzrokiem od czubka głowy do granatowych szpilek, po czym gwizdnął z podziwem. Jutro włoży dżinsy i bawełnianą bluzeczkę, postanowiła w tym momencie, tłumacząc się przed sobą, że chodzi jej jedynie o sprawiedliwy podział pracy, a nie o spojrzenie, jakim ją obdarzył.

Stanąła na schodach, prowadzących do frontowych drzwi Tryad, dokładnie w chwili, gdy ukazała się w nich Kit.

- Widzę, że masz za sobą ciężki dzień - stwierdziła przyjaciółka, wpuszczając ją do środka.

- Owszem - przyznała Susannah. - Co ty tu jeszcze robisz?

Nie spodziewała się, że zostanie kogoś w biurze, ponieważ było już dawno po godzinach pracy.

- Próbuję się przekopać przez stertę zaległych listów i wia-

domości - westchnęła Kit, wskazując jej stos kopert. - Widzisz, ile tego jest? A przecież ty i Alison zajmowałyście się w moim imieniu najpilniejszymi sprawami podczas mojej nieobecności.

Susannah zajrzała do pudełka na pocztę, oznaczonego jej imieniem, i aż jęknęła na widok stosu listów i karteczek z wiadomościami, czekających tam na nią. Kiedy ona na to wszystko odpowie, skoro kilka następnych dni spędzi na drabinie?

- Nie martw się - pocieszała Kit, pochwycawszy jej spojrzenie. - Z tego, co wspominała Rita, dwie trzecie wiadomości pochodzi od Pierce'a.

- To dobrze - ucieszyła się.

Już sobie wyobrażała jego radość, gdy przekaże mu doskonałą nowinę na temat kolekcji Cyrusa. Zapewne będzie szalał ze szczęścia, iż jego ukochane obrazy znajdą się wkrótce w Dearbom Museum.

- Szkoda, że Ali nie może zobaczyć tego uśmiechu - stwierdziła Kit. - Jeszcze niedawno mówiła mi, że między tobą a Pierce'em nie ma nic poważnego.

- I miała słuszność - odparła z przekonaniem Susannah, której sam ten pomysł wydał się niedorzeczny.

Kiedyś faktycznie uważała Pierce'a za atrakcyjnego, ale oboje byli tak zajęci pracą, że nie mieli czasu popracować nad ewentualnym związkim. Teraz zaś, kiedy poznała go od mniej korzystnej strony, nic takiego nie wchodziło w rachubę z tej prostej przyczyny, że ów przebiegły, zaborczy Pierce nie zupełnie jej nie odpowiadał.

- Ciekawe, dlaczego? - zastanawiała się Kit. - Czy ma to coś wspólnego z Marcusem Herringtonem?

- Skądże znowu! - zaprotestowała może nieco zbyt stanowczo.

- Skoro tak twierdzisz... - Kit uśmiechnęła się z rozbrawieniem.

Położywszy na biurku Rity imponujący stosik listów, które należało wysłać następnego dnia z samego rana, pożegnała się i wyszła. W tej samej chwili zadzwonił telefon.

- Tryad Public Relations - oznajmiła do słuchawki Susannah.

- I jak poszło? - zapytał z zaciekawieniem Pierce, nie wdając się w niepotrzebne powitania.

- Bardzo dobrze. Opisaliśmy bardzo dokładnie wszystkie obrazy wiszące w dwóch pomieszczeniach.

- Tylko tyle? - Był wyraźnie rozczarowany.

- Wierz mi, że zajęło nam to cały dzień. Jest coś jeszcze, tylko nie spodziewaj się zbyt wiele. Marc obiecał, że przemyśli sprawę i może uda nam się dojść do porozumienia w kwestii przekazania obrazów.

Była przekonana, że ta wiadomość tak go ucieszy, iż będzie z radości krzyczał w słuchawkę, jednak nic takiego się nie stało.

- Pytanie tylko, jakie to będzie porozumienie — odparł tonem, w którym wyraźnie słychać było wyrachowanie. - Jeśli zaproponujemy zbyt niską sumę, nie da się nabrać, a jeśli zbyt wysoką, zbankrutujemy.

- Och, wspaniale się spisałaś, Susannah. Jestem ci bardzo wdzięczny - wycodziła ironicznie. - Ależ nie ma za co. Zrobiłam to z przyjemnością.

- Co takiego? - nie zrozumiał. - Ach, tak, oczywiście. Tylko postaraj się, żeby nie zorientował się w ogromnej wartości tych zbiorów.

- Sądziłam, że ostateczna wycena należeć będzie do ciebie.

- Oczywiście, dlatego musisz być ostrożna w tym, co mówisz, żebyśmy sobie nawzajem nie przeczyli.

Susannah przewróciła oczyma na myśl o płótnie Evansa Jacksona. Jeśli Pierce oczekuje, że będzie mu cały czas przytakiwała, nawet gdy będzie mówił takie głupoty, to chyba się przeliczy.

- I spróbuj go podpytać, jakie zamierza postawić warunki - kontynuował. - Rób, co uważasz za konieczne, schlebiaj mu, chwal jego gust... Wiesz, właśnie przyszło mi do głowy, że doskonale by było, gdybyś go przyprowadziła w czwartek wieczorem na wernisaż. Wtedy członkowie rady nadzorczej mogli by go poznać i...

- I popracować nad nim? - wpadła mu w słowo.

Pierce zachichotał z zadowolenia. Gotowa była przysiąc, że jednocześnie radośnie zacierał ręce.

- Przy okazji będzie mógł się przekonać, jak doskonale kolekcja Cyrusa będzie się prezentować w naszym muzeum - uzupełnił.

- Nie wiem, czy to taki dobry pomysł. - Usiłowała sprowadzić go na ziemię. - Marc nie gustuje we współczesnej sztuce.

- Jasne, że nie, najwyżej w kalendarzach z rozebranymi panienkami - stwierdził pełnym wyższości tonem.

Susannah już otwierała usta, żeby wspomnieć o „Arcydziełach”, ale w końcu zrezygnowała.

- Zaprosz go najpierw gdzieś na kolację, żeby wprowadzić go w dobry nastrój - poinstruował.

- Wolałabym raczej...

- Nie przejmuj się kosztami, możesz go zabrać do najdroższej restauracji w Chicago, jeśli to ma pomóc - nie dawał za wygraną. -I nie oszczędzaj na drinkach, dobrze?

Zanim zdążyła wymyślić jakąś wymówkę, odłożył słuchawkę. Swoją drogą, było to niezwykle, ponieważ jeszcze nigdy

Pierce nie dał jej wolnej ręki, jeśli chodzi o wydatki na cele reprezentacyjne muzeum.

Gdy we wtorek zjawiła się w domu Cyrusa, z ulgą stwierdziła, że tym razem Marc jest już na szczęście ubrany. Powitał ją w drzwiach, zaś O'Leary, machając radośnie ogonem, polizał jej dłoń.

- Wydawało mi się, że psu nie wolno wejść dalej niż do kuchni - stwierdziła, próbując osłonić się przed psimi czułościami.

Marc zawołał zwierzaka, który posłusznie usiadł i popatrzył na swego pana z uwielbieniem.

- Zanim się tu sprowadziłem, nie wolno mu było nawet przekroczyć progu domu. Próbuję go wytresować, bo jaki jest sens trzymania psa, jeśli nie jest on na tyle dobrze ułożony, żeby wszędzie mi towarzyszyć?

- Czuję, że tutejsza służba będzie tym wyjątkowo zachwycona - mruknęła.

- Jeśli tak, to ich urlop może się nieco przedłużyć - odparł, wzruszając ramionami.

- Nie sądzisz, że to trochę okrutne?

- Przyganiał kocioł garnkowi...

Już miała zapytać, co miał przez to na myśli, gdy przypomniała sobie, że przecież uważał, iż pozbyła się dziecka, ponieważ skomplikowałyby jej życie.

- Właśnie, jeszcze nie zdażyłem cię zapytać, co nowego u twoich rodziców - ciągnął. - Może napijemy się kawy i opowiesz mi o nich?

- Wołałabym wziąć się od razu do pracy.

- Czyżbyś chciała coś przede mną ukryć? - Zerknął na nią podejrzliwie.

- Oczywiście, że nie - skłamała. - Po prostu piłam już dziś kawę, a poza tym chciałabym jak najszybciej uporać się z tą pracą.

- Widzę, że dziś przynajmniej ubrałaś się bardziej odpowiednio - stwierdził, obrzucając jej sylwetkę pełnym aprobaty spojrzeniem. - Skąd ten pośpiech? Czyżby moje towarzystwo aż tak bardzo ci nie odpowiadało?

W porę przypomniała sobie polecenie Pierce'a, aby mu schlebiała, chwaliła jego gust; dogadzała mu. Gdyby nie to, zapewne odgryzłaby mu się w wyjątkowo złośliwy sposób.

- Spieszę się, ponieważ czeka mnie mnóstwo pracy nad innymi projektami. Wyobraź sobie, że oprócz ciebie mam jeszcze innych klientów - dorzuciła, nie mogąc się powstrzymać.

W jego wzroku wyraźnie widać było powątpiewanie, co szczególnie ją zirytowało, wiedziała jednak, że nie może pozwolić sobie na wybuch złości, toteż włożyła wiele wysiłku, by swemu głosowi nadać zachęcające brzmienie.

- Jeśli chodzi o ścisłość, to nie mam również zamiaru cię unikać. Co więcej, chciałabym się dowiedzieć, czy miałbyś ochotę spędzić ze mną czwartkowy wieczór?

W jego oczach pojawiły się niebezpieczne ogniki,

- Ależ, kochanie, nie sądziłem, że ci zależy...

- W Dearborn Museum odbędzie się wernisaż, więc pomyślałam, że to doskonała okazja, byś obejrzał sobie wszystko i poznał dyrekcję oraz zarząd - wyjaśniła rzeczowym tonem.

- Szczerze mówiąc, wolałbym być żywcem pieczony na rożnie. - Skrzywił się. - A może ja zaproponuję, dokąd się wybierzemy?

- Wystawa prezentuje prace współczesnych twórców, mieszkających w Chicago - nie dała się zbić z tropu. - Reprezen-

tują różne szkoły malarstwa, więc myślę, że znajdzie się coś, co ci przypadnie do gustu. Poza tym będziesz miał okazję poznania osobiście kilku z nich.

- Zgoda - skapitulował niespodziewanie.

- Jak to? - Przyjrzała mu się podejrzliwie. - A więc przyjdiesz?

- Owszem. - Skinął głową.

- Ale dlaczego? - wyrwało jej się, gdy gorączkowo zastanawiała się, który z przytoczonych przez nią argumentów okazał się tak skuteczny. - Chodzi o to spotkanie z artystami?

- Ależ skąd! Po pierwsze, chciałbym zobaczyć, jak wygląda Dearborn Museum, a po drugie, podczas wernisażu twój najlepszy przyjaciel Pierce nie będzie mógł poświęcić mi się bez reszty i pokazać wszystkie, znajdujące się tam obrazy.

Nie mogła się zdecydować, co gorsze: gdy Marc nazywa Pierce'a jej szefem, czy też najlepszym przyjacielem? W każdym razie nie miała zamiaru protestować. Musiała też przyznać mu punkt za przenikliwe myślenie, bo jak znała Pierce'a, gotów byłby zapewne oprowadzić Marcusa po wszystkich pomieszczeniach muzeum, wygłaszając przy tym długie, pompatyczne wykłady.

- Jasne, że dużo przyjemniej jest oglądać obrazy samemu - zgodziła się.

- Och, na oglądanie tych arcydzieł poświęcę mniej więcej dziesięć minut - oznajmił pogodnie. - Resztę wieczoru przeznaczę na przypatrywanie się tobie.

Poczuła, że nagle braknie jej tchu. Musiała wyglądać nieszczególnie, ponieważ uniósł wysoko brwi w udawanym zdziwieniu.

- Ależ, Susannah, przecież mnie zaprosiłaś, prawda? Chcia-



łaaś zatroszczyć się o to, abym miał interesującą przewodniczkę, gdy obrazy okażą się śmiertelnie nudne, czyż nie?

Po tym wszystkim, była niezmiernie zadowolona, że zapomniała zaprosić go na kolację przed rozpoczęciem wernisażu. Owszem, była gotowa posłużyć jako przynęta, tak by Marc zjawił się na otwarciu wystawy i stanął twarzą w twarz z członkami rady nadzorczej muzeum, ale nie zamierzała dodatkowo zabawiać go w restauracji.

Jednak gdy nadeszło czwartkowe popołudnie, a on ani słowem nie wspomniał o wernisażu, zaczęła się poważnie niepokoić. Miała nadzieję, że nie wystawi jej w ostatniej chwili do wiatru.

Zapisawszy w swym notesie wszystkie szczegóły, dotyczące ostatniego z obrazów, które Marc zdjął ze ściany, potarła wierzchem dłoni piekące oczy. Nie miała już nic więcej do zrobienia, dopóki nie zatrudnią ekipy, która zajmie się zdejmowaniem większych płócien.

- Zmęczona? - zapytał, niespodzianie stając za jej plecami.

Wyprostowała się gwałtownie. Nie rozumiała, jak to możliwe, żeby jakikolwiek człowiek mógł chodzić równie bezszelestnie. Musiała stale mieć się na baczności, co na dłuższą metę było szalenie nużące.

- Może w takim razie powinniśmy zrezygnować z pójścia na wernisaż - podsunął.

Podniosła na niego ironiczne spojrzenie.

- Jeśli zależy ci na prywatnej wycieczce, jestem pewna, że Pierce z radością ci ją zorganizuje.

- Tak to jest, kiedy człowiek zostaje pobity własną bronią.  
- Uśmiechnął się lekko. - W takim razie chodźmy.

Skan i ebook pona

- Chyba nie wybierasz się w takim stroju - zaprotestowała. Marc przyjrzał się badawczo swej bawełnianej koszulce, pokrytej kopiami podpisów największych malarzy w historii.

- Czemu nie? Jest wyjątkowo artystyczna.

- Chociażby dlatego, że została zaprojektowana dla jednego z muzeów, które konkurują z Dearborn o pieniądze, zwiedzających oraz obrazy - wyjaśniła rzeczowo.

- Naprawdę? - zdziwił się. - W takim razie zdejmę ją.

Zanim zdążyła zaprotestować, jednym ruchem ściągnął koszulkę przez głowę, ukazując szeroką opaloną klatkę piersiową. Był dobrze zbudowany, ale w niczym nie przypominał kulturysty, który wygląda, jakby w każdej chwili gotów był przybrać dziwaczną pozę, prezentując naprężone mięśnie. Co więcej, zdawał się być zupełnie nieświadomy swej atrakcyjnej sylwetki.

- Chociaż myślę, że zarząd nie powinien się bardzo na mnie zdenerwować za taki strój - stwierdził, przypatrując się koszulce. - Kupiłem ją w sklepie z używaną odzieżą, więc tamto muzeum nie dostało ode mnie ani centa. Ale skoro nalegasz, pójdę się przebrać.

Gdy tylko znalazł się na schodach, prowadzących na pierwsze piętro, Susannah zamknęła się w łazience, by przygotować się do wyjścia. Bawełniana koszulka powędrowała do aktówki, zaś jej miejsce zajęła bluzeczka na ramiączkach. Założyła też złoty naszyjnik i także wiszące kolczyki, przekształcając w ten sposób skromny ciemnozielony kostium w kreację wieczorową.

Stała u stóp schodów, gdy Marc zszedł po nich w towarzystwie zawsze obecnego O'Leary'ego.

- Nie przypuszczałem, że aż tak się za mną stęsknisz - zauważył z przekornym uśmiechem.

- Chciałam się przekonać, co uważasz za stosowny strój  
- odparła, przyznając w duchu, iż tym razem prezentował się bez zarzutu.

Miał na sobie ten sam garnitur, co podczas pogrzebu Cyrusa, zaś zamiast białej koszuli, włożył tym razem jasnoblękitną. Bez monogramu na mankietach, co natychmiast sprawdziła.

Marc powędrował wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Jeśli szukasz inicjałów, to muszę cię rozczarować. Tamta koszula była wyjątkiem. Dostałem ją w prezencie od kobiety, która najwyraźniej sądziła, że jeśli mi się w ten sposób nie przypomni, nie zdołam zapamiętać, jak się nazywam.

- Od żony? - zapytała, starając się nadać swemu głosowi obojętny ton.

- Spudłowałaś, moja droga. - Uśmiechnął się.

Tylko tyle, żadnego wyjaśnienia. Oczywiście dzięki temu nie mogła przestać myśleć, kto był ofiarodawcą owej koszuli.

- Skończyłam katalogowanie niniejszych obrazów - powiedziała, gdy znaleźli się w samochodzie. - Pomyślałam, że mogłabym dziś poprosić Pierce'a, żeby polecił nam jakąś dobrą ekipę do pomocy przy zdejmowaniu większych płócien.

- Doskonale - stwierdził, nie odrywając spojrzenia od załoczonej obwodnicy. - Czeka już na ciebie stos rachunków, które znalazłem w jednej z szuflad. Problem w tym, że są tak niewyraźnie napisane i czasem sprawiają wrażenie zaszyfrowanych, więc najlepiej będzie, jeśli porównasz je ze swoimi zapiškami dotyczącymi obrazów. Muszę jednak powiedzieć, że w żadnej z teczek z dokumentami, jakie przejrzałem, a wierz mi, że Cyrus należał do ludzi, którzy nie wyrzucają ani kawałek papieru, nie znalazłem nawet najmniejszej wzmianki o przekazaniu kolekcji Dearborn Museum.

Była szczerze zdumiona, że w ogóle zadał sobie tyle trudu, by poszukać.

- Oczywiście, że nie znalazłeś - odparła, nie zbita z tropu.

- Mówiłam ci, że dopracowywano jeszcze szczegóły, więc nie były nigdzie zapisane.

- Tak, ale nie natknąłem się na żadną, nawet najbardziej ogólną wzmiankę.

Poczuła, jak robi jej się słabo. Umowa, z której była tak bardzo dumna, mogła w ogóle nie dojść do skutku. Nie wiedziała, jak spojrzy w oczy Pierce'owi oraz radzie nadzorczej muzeum. Jednakże było coś jeszcze, co sprawiało, iż do jej oczu cisnęły się łzy. Czyżby aż tak bardzo zależało jej, aby Marc uwierzył w prawdziwość jej słów?

- A co znalazłeś w jego kalendarzu? - zapytała po chwili.

- Jestem pewna, że Cyrus i Pierce spotkali się kilka razy na kolacji.

- Tam jeszcze nie zająłem - przyznał. - Ale co by to znaczyło, oprócz tego, że obydwaj lubili te same restauracje? Poza tym Joe Brewster wspominał, że pewne fakty wskazywałyby na to, że Cyrus najwyczejniej w świecie nabił twojego klienta w butelkę.

Świetnie, pomyślała zrozpaczona, gdy cadillac Cyrusa zatrzymał się przed głównym wejściem do muzeum. Co ona teraz powie Pierce'owi? Z całej siły walczyła z napływającymi do oczu łzami, ponieważ za wszelką cenę chciała udowodnić Marcusowi, że jest prawdziwą profesjonalistką, która potrafi znieść porażki z podniesioną głową.

- W takim razie myśl sobie, co chcesz - powiedziała spokojnie, gdy otworzył drzwi auta, by mogła wysiąść.

- Tak szybko się poddajesz?

- A co, twoim zdaniem, powinnam zrobić, żebyś mi uwierzył? Spreparować list? Nie dowiemy się już, jakie były rzeczywiste zamiary Cyrusa, a obrazy należą teraz do ciebie, podobnie jak decyzja, co z nimi zrobić.

- Wiem - mruknął pod nosem. -I zrobię to, co będę chciał.

Wernisaż ten był bez wątpienia największym przedsięwzięciem w historii Dearborn Museum, po części zapewne dlatego, że na wystawie znalazły się dzieła artystów mieszkających w Chicago, z których większość zjawiła się tego wieczoru w otoczeniu krewnych i przyjaciół. Susannah przypuszczała, że Pierce osobiście przyczynił się do tak wysokiej frekwencji, wydzwaniając do wszystkich członków Towarzystwa Miłośników Dearborn Museum.

- Tłoczno tutaj - zauważył Marc, po czym całą swą uwagę poświęcił półmiskowi przekąsek, trzymanemu przez stojącego obok nich kelnera.

Susannah była tak przygnębiona, że nawet na myśl o jedzeniu robiło jej się niedobrze.

- Susannah, kochanie, jak się pani miewa? - zawołała kobieta o nieprawdopodobnie kasztanowych włosach, podchodząc do nich. - A to zapewne pan Herrington?

- Pani Adams należy do rady nadzorczej muzeum - wyjaśniła, zwracając się do Marcusa.

- Mam nadzieję, że podoba się panu nasz malutki wernisaż.  
- Pani Adams posłała mu olśniewający uśmiech.

Susannah żałowała, że Pierce nie mógł tego usłyszeć, bo przygotowania do tego „malutkiego wernisażu” zajęły mu dobre pół roku.

- Owszem, jestem pod wrażeniem - odparł uprzejmie Marc,

a w oczach pani Adams pojawił się wyraz triumfu, - Proszę spojrzeć na to - ciągnął, sięgając po jeszcze jedną miniaturową kanapeczkę. - Jakiego dynamizmu dodaje tej konstrukcji z szynki znajdująca się pośrodku spirala z żółtego sera. A ta zielona oliwka, sąsiadująca z kawałeczkiem czerwonej papryki. Ciekawe, co artysta chciał w ten sposób wyrazić?

Pani Adams wyglądała tak, jak gdyby miała za chwilę zemdleć. Marc uśmiechnął się do niej czarująco, po czym ująwszy Susannah pod rękę, poprowadził w nieco mniej zatłoczoną część muzeum. Była całkiem zadowolona z takiego obrotu sprawy, bo obawiała się, że gdyby dłużej przyszło jej stać obok pani Adams, wybuchłaby niepohamowanym śmiechem.

Zatrzymał przechodzącego obok kelnera i wziąwszy z jego tacy dwa kieliszki z winem musującym, podał jeden z nich Susannah, która postanowiła tylko udawać, że pije, ponieważ sytuacja wymagała, aby jej umysł pracował na najwyższych obrotach.

W tym momencie spostrzegł ich Pierce i zatarłszy z zadowoleniem ręce, podszedł do nich, zerkając to na Susannah, to na trzymany przez Marcusa kieliszek. Zupełnie jakby jedno lub dwa wina miały wpłynąć na jego decyzję w tak ważnej sprawie, pomyślała z niesmakiem.

- Mam nadzieję, że smakowała panu kolacja - odezwał się Pierce z szerokim uśmiechem.

Susannah zagryzła mocno wargę. Zupełnie zapomniała poinformować go, że nie ma zamiaru posunąć się do zaproszenia Marcusa na kolację. Zastanawiała się intensywnie, jak skierować uwagę Pierce'a na inny temat.

- Czy Susannah zabrała pana do jakiejś dobrej restauracji?  
- ciągnął tamten, zupełnie nie patrząc w jej stronę.

- Ależ oczywiście - zapewnił Marc. - Prosiła jednak, że-  
bym panu nie mówił, gdzie byliśmy, ponieważ jej zdaniem,  
gdyby zaczęły tam przychodzić tłumy, miejsce to zupełnie straciłoby swą czarującą atmosferę.

Pierce zmarszczył czoło.

- Przepraszam, ale muszę zająć się także innymi gośćmi  
- powiedział po chwili zastanowienia. - Jeśli będzie mnie pan  
potrzebować, służę pomocą.

- Ładnie to tak nie wypełniać poleceń służbowych? - zapy-  
tał cicho Marc, gdy Pierce oddalił się na bezpieczną odległość.

- Może powinienem był mu powiedzieć, że kolacja była taka  
sobie, ale spodziewam się, że deser o wiele bardziej przypadnie  
mi do gustu.

Spojrzenie, jakim ogarnął całą jej sylwetkę, zdradzało, że ani  
przez moment nie chodziło mu o jedzenie.

Chcąc zyskać na czasie, podniosła do ust kieliszek, ale bą-  
belki podrażniły jej nos, co szalenie ją zirytowało.

- Wiesz co, Marc? - syknęła, nie mogąc opanować złości.  
- Skończ z tymi gierkami słownymi, dobrze?

- Ależ, Susannah... - Urwał, widząc jej groźne spojrzenie.  
- Oczywiście, skoro sobie tego życzysz.

Nawet przez chwilę mu nie wierzyła, ponieważ ton jego  
głosu był podejrzanie potulny. Zanim jednak zdążyła coś na to  
odpowiedzieć, zbliżyła się do nich kolejna członkini rady nad-  
zorczej i cmoknąwszy powietrze tuż obok policzka Susannah,  
podała dłoń Marcusowi.

- Moja przyjaciółka i ja właśnie rozmawiałyśmy o panu -  
oznajmiła.

- Czuję się zaszczycony.

Susannah dokonała prezentacji, a wtedy kobieta położyła na

ramieniu Marcusa wypielegnowaną rękę z krwistoczerwonymi paznokciami.

- Moja przyjaciółka zastanawiała się, czy pochodzi pan z Herringtonów z Evanston. Moim zdaniem jest to mało prawdopodobne, ale pomyślałam, że najlepiej będzie, gdy dowiem się u źródła - szczebiotała.

- Obawiam się, że miała pani rację - odparł Marc przepraszającym tonem. - Herringtonowie z Evanston to dla mnie, że się tak wyrażę, za wysokie progi, podobnie zresztą jak Millero- wie z Northbrook.

Susannah trzymała nerwy na wodzy do chwili, gdy ich rozmówczyni się oddaliła.

- To był chwyt poniżej pasa - syknęła.

- *Ale czy nie miałem racji? Wiesz, zawsze mnie zastanawiało, dlaczego na zastępczego ojca dla twego dziecka wybrałaś właśnie kogoś, kto, zdaniem twoich rodziców, był zwykłym mętem?*

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, chyba tylko to, że nagle straciła rozum, ale tego nie miała ochoty mówić, ponieważ naraziłaby się na śmieszność.

- Jesteś pewien, że to nie był komplement? - spytała. - Bądź co bądź, męty przecież zawsze wypływają na wierzch.

Marc przyglądał jej się w zdumieniu przez kilka sekund, po czym roześmiał się serdecznie, odchylając do tyłu głowę.

Przez te wszystkie lata zdążyła już zapomnieć, jak dźwięczny i zaraźliwy jest jego śmiech, jak cudownie lśnią wtedy jego oczy.

- Uwaga, następny członek rady nadzorczej na lewej burcie - ostrzegła półgłosem.

- Jeszcze jeden? - jęknął. - Ilu ich jest?



- Dwunastu.
- Go znaczy, że zostało mi jeszcze dziewięciu? - westchnął.
- Jestem pewna, że wszyscy zechcą cię poznać osobiście.
- Czy interesuje się pan sztuką, panie Herrington? - zapytał

wysoki, chudy mężczyzna w niemodnym garniturze, stając obok nich.

- Ależ oczywiście - zapewniła Susannah ze słodkim uśmiechem na ustach. - Zwierzył mi się, że jednym z jego ulubionych programów telewizyjnych jest serial „Arcydzieła”. Oczywiście, poza meczami baseballowymi i piłkarskimi.

- Koszykówką, hokejem, serialami komediowymi, wiadomościami, prognozą pogody i paroma naprawdę zabawnymi reklamami - uzupełnił Marc. - Tak, "Arcydzieła" rzeczywiście znajdują się w czołówce moich ulubionych programów. Raz nawet wysłałem im trochę pieniędzy i przysłali mi taką ładną broszurkę o tym, co będzie w następnym odcinku - dodał z wyraźną dumą. Położył dłoń na piersi, jak gdyby lada moment miał się udusić.

Susannah nie mogła wyjść z podziwu dla instynktu, jaki kazał Marcusowi wspomnieć o przesłaniu tych pieniędzy, ponieważ ich rozmówca szczylił się tym, że był jednym z najhojniejszych sponsorów imprez kulturalnych.

- Oczywiście w obecnej sytuacji moje zainteresowanie sztuką wzrosło jeszcze bardziej - ciągnął Marc - jako że niektóre z obrazów, należących do Cyrusa, powinny znaleźć miejsce, gdzie mogłyby być odpowiednio zaprezentowane.

Dwoje członków rady nadzorczej, stojących nieopodal, przerwało rozmowę w pół zdania. Cisza rozpełzła się po całym pomieszczeniu, tak że chwilę później wszystkie głowy zwrócone były w ich kierunku w niemym oczekiwaniu.

- Myślę, że z radością powitacie państwo decyzję, jaką podjąłem w sprawie skarbów Cyrusa.

Gdyby Susannah była w stanie się poruszyć, zasłoniłaby dłońmi uszy, jednak zamarła, ponieważ była jedyną osobą w tym towarzystwie, która wiedziała, że nadciąga kataklizm. Wszyscy zbliżyli się o parę kroków, tak że wokół nich zapanaował ścisk. Przepuszczono tylko Pierce'a-, który znalazł się tuż obok niej.

- Nie ukrywam, że ze względu na Susannah zdecydowałem się, że przekażę obrazy Dearborn Museum - oznajmił Marc.

Głębokie westchnienie ulgi wyrwało się z dziesiątek ust, po nim zaś nastąpił burzliwy aplauz.

Susannah nie mogła uwierzyć własnym uszom, toteż w milczeniu przypatrywała się Marcusowi, myśląc intensywnie. Chyba musiał mieć miejsce jakiś cud, który wpłynął na zmianę jego decyzji. Zastanawiała się, gdzie ukryty został haczyk, gdy Marc podniósł rękę, chcąc uciszyć oklaski.

- Postanowiłem, że będę przekazywał muzeum po jednym obrazie - oświadczył, otaczając ją ni z tego, ni z owego ramieniem - za każdym razem, gdy Susannah pójdzie ze mną do łóżka.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

W sali zapanowała śmiertelna cisza, przzerwana przez wybuch nerwowego chichotu pewnej pani, która najwyraźniej nie wytrzymała panującego napięcia. Jediną osobą, która zachowywała się naturalnie, był Marc, rozglądający się z uniesionymi w zdumieniu brwiami, jak gdyby nie potrafił zrozumieć, co właściwie spowodowało taką reakcję.

- Ale przeszkodziłem w otwarciu wystawy - odezwał się po chwili pogodnym głosem. - Proszę mi wybaczyć, nie powinienem być odciągając państwa uwagi od prawdziwych bohaterów wieczoru. Susannah, może oprowadzisz mnie po wystawie? Chyba, że wolałabyś...

Pewna była, co po tym nastąpi, więc zebrała w sobie wszystkie siły i ująwszy go pod ramię, pociągnęła w kierunku najbliższego obrazu.

- Cóż za fascynujące dzieło - ocenił, wskazując na płótno pokryte intensywnie niebieskimi falami. - Jakie zmysłowe wgłębienia, nie sądzisz? Nadają temu obrazowi szalenie erotyczny charakter.

- Przystaniesz czy nie? - syknęła.

- Jeśli chciałabyś o tym podyskutować, możemy przejść w jakieś ustronne miejsce - zaproponował.

- Nie możemy iść w ustronne miejsce, bo wszyscy tu obecni pomyślą, że... - Urwała, ponieważ doszła do wniosku, iż pro-

wadzenie kłótni półgłosem nie daje żadnej satysfakcji. - To był chyba najgorszy pomysł, jaki kiedykolwiek powstał w twojej głowie, Marcusie Herringtonie!

- Zrobiłem tylko to, o co prosiłaś - odparł niewinnie.

- Jak to? - Przyglądała mu się ze zdumieniem. - Nie przypominam sobie, żebym powiedziała coś, co mogłoby choć w najmniejszym stopniu usprawiedliwić twoje zachowanie.

- Przecież chciałaś, żebym skończył z gierkami słownymi, czyż nie? Dlatego wyraziłem się jasno, bez owijania w bawełnę.

Uderzyła dłonią w czoło. A więc w ten sposób zinterpretowała jej całkowicie niewinną uwagę! Tak, to tylko dowodziło, że nie powinna w ogóle z nim rozmawiać, bo przekreślał wszystko, cokolwiek powiedziała. Nie miała zamiaru dostarczać mu więcej amunicji.

Powziąwszy takie postanowienie, bez słowa wędrowała za nim od obrazu do obrazu, słuchając jego komentarzy, aż wreszcie w galerii ponownie zapanował gwar rozmów, zaś jej tętno wróciło do normy. Odzyskawszy wrodzone poczucie humoru, doszła do wniosku, że Marc tak naprawdę nie mówił tego poważnie. Chciał tylko zagrać na nosie wszystkim snobom, którzy traktowali go jak kompletnego ignoranta. „Czy ma pan w ogóle pojęcie, czym jest sztuka?” „Niemożliwe, żeby był pan spokrewniony z Herringtonami z Evanston”. „Czy potrafi pan w pełni docenić wartość tej wystawy?” Oczywiście ludzie ci użyli innych sformułowań, ale tak naprawdę chodziło im o to, aby okazać mu swą wyższość. Dlatego więc nie dziwiła się za bardzo, że powiedział coś takiego, aby powstrzymać ich przed kontynuowaniem kampanii, jaką postanowili przeprowadzić.

Po chwili dopiero zdała sobie sprawę, że już po raz drugi zapytała ją, czy ma ochotę wracać do domu.

- Za nic w świecie nie wyjdę teraz z tobą - odparła stanowczo.

- Czemu nie? - zdziwił się. - Przecież przyjechałaś tu ze mną. Zapomniałaś, że twój samochód stoi przed domem Cyrusa?

- I co z tego? Mogę przecież wziąć taksówkę. Wybij sobie z głowy, że po tym, co dziś powiedziałaś, wsiądę z tobą do auta.

- Słowo skauta, że nie wykorzystam tej sposobności, aby cię... Jak to twoja matka wtedy się wyraziła? Aby cię wykorzystać.

- Tylko byś spróbował! Tym niemniej, nie mam zamiaru przedefilować przed tym tłumem u twego boku.

To powiedziawszy, uniosła dumnie głowę i ruszyła ku wyjściu.

Rzeczywiście, na chodniku przed wejściem do muzeum stał spory tłum oczekujących na przyprowadzenie ich samochodów. Połowa zgromadzonych tam osób przyglądała jej się ukradkiem, pozostali zaś nie zadali sobie nawet trudu, aby ukryć swe zainteresowanie.

- Poproszę kogoś z obsługi, żeby wezwał mi taksówkę - powiedziała Marcusowi, który szedł za nią krok w krok.

- Zawsze mnie uczono, że jeśli zaprosiłem dziewczynę na randkę, to powinienem ją odprowadzić pod same drzwi - nie dawał za wygraną.

- Ale to nie była randka, więc możesz czuć się zwolniony z tego obowiązku - przypomniała.

- Zgoda, wezwij taksówkę. Powiem wszystkim, iż tak zależy ci na dyskrecji, że nalegałaś, abyśmy spotkali się później przed domem Cyrusa.

Była pewna, że gotów jest to uczynić, mimo że „później”

oznaczało nadchodzący poranek, zaś okazją była praca, a nie namiętne pieścizoty. Wypowiedziałyby to jednak takim tonem, że nikt nie miałby najmniejszych wątpliwości co do celu ich spotkania.

- Daruj sobie - mruknęła. - I tak nie mam zamiaru jechać z tobą do domu Cyrusa.

- Właściwie masz rację - zgodził się nagle. - Nie ma sensu, żebyś o tej porze jechała aż na zachodni kraniec miasta, by odebrać samochód. Odwiozę cię.

Zaprotestowała, ale jej słowa zagłuszył dźwięk silnika cadillaca, którego właśnie podstawiono przed wejściem do muzeum. Chcąc nie chcąc, poinformowała go, jak dojechać do osiedla, w którym mieszkała.

- To chyba niedaleko Parku Lincoln - stwierdził zaskoczony.

- Owszem. Czemu tak cię to dziwi? Mieszkam niedaleko Tryad, więc mogę przejść piechotą do pracy, chyba że wiem, że w ciągu dnia będę potrzebowała samochodu.

- Cóż, nie jest to zła dzielnica, ale spodziewałem się czegoś bardziej ekskluzywnego, może apartamentu w Lakeshore Tower, czy domku w Magnificent Mile...

- Wszyscy mamy swoje słabości - odparowała. - Ja na przykład przedkładam wygodę nad elegancję.

- Założę się, że twoja matka absolutnie nie podziela tego poglądu - stwierdził z przekonaniem.

- Owszem - mruknęła.

Mieszkała w nie za pięknym bloku, podobnym do dziesiątków innych, wybudowanych w tej okolicy. Próbowała przyjrzeć mu się oczyma Marcusa, gdy wjechali na osiedlowy parking, i doszła do wniosku, że nie jest to szczególnie urocza budowla.

- Parking przeznaczony jest wyłącznie dla mieszkańców, więc najlepiej będzie, gdy zatrzymasz się na chwilę przed blokiem, bym mogła wysiąść.

- Ale skoro nie ma tu twojego samochodu, to chyba mogę zatrzymać się na twoim miejscu - zasugerował.

Czy istniał w ogóle jakiś sposób, żeby go przechytrzyć? Zrezygnowana, pokierowała go ku miejscu, na którym parkowała.

- Nie mam zamiaru zapraszać cię do środka - zastrzegła.

- Wcale na to nie liczyłem - odparł, pomagając jej wyjść z auta. - Śpij dobrze, Susannah. Ja zapewne nie zmruję oka.

- Och, daj spokój - zachnęła się. - Niby dlaczego? Przecież kolekcja jest już bezpieczna.

- Czy masz przez to na myśli, że wkrótce znajdzie się w rękach muzeum? - upewnił się.

- Oczywiście, że nie. Jest bezpieczna z twojego punktu widzenia. Ani Pierce, ani członkowie rady nadzorczej nie będą cię już więcej nękać. Możesz zrobić z tymi obrazami, co zechcesz.

- Myślę, że nie, ponieważ zgodziłem się na pewne warunki. W tej chwili wybór należy raczej do ciebie.

W jego głosie zabrzmiała nuta szczerości, ale Susannah nawet przez moment nie dała się na to nabrać.

- Jeśli zechcesz, Dearborn Museum otrzyma obrazy, co nawet by mnie ucieszyło, bo chętnie wypełniłbym warunki, jakie sam określiłem - ciągnął. - Ale jeśli nie, uszanuję twoją wolę. A żeby pomóc ci podjąć decyzję... - Urwał, przyciągając ją do siebie.

Zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, poczuła na ustach dotyk jego warg. Wiedziała, że jeśli się teraz wyrwie, Marc zinterpretuje to jako oznakę tchórzostwa, postanowiła

więc jakoś to przecierpieć, aby udowodnić mu, że nie robi na niej absolutnie żadnego wrażenia.

Pomyliła się. Jego pocałunki wciąż wzniecały w niej ten sam płomień, co przed ośmiu laty, wciąż sprawiały, że brakło jej tchu, a nogi ugiwały się niebezpiecznie.

A więc tak, jego zdaniem, wyglądało uszanowanie jej woli. Jednym pocałunkiem sprawił, że nie widziała nic prócz niego, nie słyszała nic prócz jego oddechu, nie czuła nic prócz smaku jego skóry. Wytrącił ją z równowagi, sprawił, że z trudem utrzymywała się na nogach, a w końcu zostawił. To było zdecydowanie najgorsze.

Była zdumiona, że coś takiego przemknęło jej przez myśl. Przecież powinna się cieszyć, iż odsunął się wreszcie na bezpieczną odległość.

- Pomyśl o tym - szepnął.

Jego głos był jakby zdławiony, co mogło oznaczać, że ta pieszczota również i jego nie pozostawiła obojętnym, lecz Susannah wolała wierzyć, że to tylko kolejny element przedstawienia, jakie przed nią odgrywał.

Patrzyła, jak odchodził w stronę samochodu. Gdy zniknął za zakrętem, jak zahipnotyzowana weszła do bloku, a znalazłszy się w swoim mieszkaniu, nie włączyła nawet światła, tylko rzuciła się na kanapę.

- Do licha, ten facet jest naprawdę dobry - mruknęła z niekłamanym podziwem.

Nie była specjalnie zdziwiona, gdy następnego dnia nie zatelefonował do niej ani jeden członek rady nadzorczej. Zastanawiała się, czy to możliwe, aby wszyscy wzięli ową skandaliczną wypowiedź Marcusa na serio i nie dzwonili, ponieważ czuli się



aż tak zażenowani? Sara Marc również się nie odzywał. Może dotarło do niego, że naprawdę nie zamierzała podporządkować się jego warunkom? W każdym razie cisza, która nagle zapanowała, była jej wielce na rękę, gdyż mogła się wreszcie skupić na zaległych projektach. Po południu udała się na cotygodniowe spotkanie współwłaścicielki Tryad i z dumą odkryła, że zjawiała się jako pierwsza. Kończyła właśnie pić tonik, gdy w drzwiach stanęły Kit oraz Alison.

- Ojej, a więc Susannah Miller rzeczywiście istnieje - zawołała Kit, siadając obok. - Tak dawno się nie widziałyśmy, że zaczynałam się już zastanawiać, czy nie jesteś produktem mojej bujnej wyobraźni.

- Czy zauważyłaś, że Sue pije tonik? - zwróciła się do niej Alison. - Z reguły zamawia go wtedy, gdy ma naprawdę wielką ochotę na coś dużo bardziej wyskokowego. Zgodnie z zasadą, że im bardziej potrzebujesz drinka, tym lepiej byłoby, żebyś z niego zrezygnowała.

- Zgadłyście - westchnęła. - To był ciężki tydzień.

- Biedactwo. - Alison spojrzała na nią ze współczuciem.

- Czy dostałaś mój liścik w sprawie Universal Dynamics?

- Owszem. - Susannah pokiwała głową. - Wiem, Ali, że nie dawałabyś mi tego zlecenia, gdyby to nie była moja kolej, ale jestem tak zapracowana, że wątpię, czy przed końcem września ujrzę światło słoneczne. Gdyby któraś z was mogła je przejąć, chętnie się wam później zrewanżuję.

- Chcesz zrezygnować z Universal Dynamics? - Kit wyciągnęła rękę i dotknęła nią czoła Susannah. - Chyba nie masz gorączki, ale...

- Wiem, że gdyby podpisali z nami kontrakt, zyskałybyśmy rozgłos w całym kraju, ale naprawdę, w tej chwili nie dam rady

zając się jeszcze tym. Chyba że wołałybyście, żebym się zgodziła, a potem wykonała projekt nieporządnie.

- Oczywiście, że nie - obruszyła się Kit.

- W takim razie zamieńmy się - zaproponowała Susannah.

- Obiecuję, że gdy się trochę obrobuję, przyjmę wszystkie zlecenia, na które nie możecie patrzeć.

- Sue, ale to nie twoja kolej - zauważyła spokojnie Alison.

- Jak to? To dlaczego przydzieliliście mi to zlecenie?

- Pamiętasz ten projekt, który robiłaś dla producenta pasów transmisyjnych?

- Owszem, ale Kitty też nad nim pracowała - przypomniała Susannah.

- Tylko na początku - uściśliła Kit. - Ale to dzięki tobie zaoszczędzili milion dolarów, który musieliby wydać na wypłatę odszkodowania. W każdym razie ten facet, który dzwonił, dyrektor działu public relations w Universal Dynamics, za nic nie chciał mi powiedzieć, o co konkretnie chodzi, chciał rozmawiać tylko z tobą.

- Ale dlaczego właśnie ze mną? - nie rozumiała.

- Zdaje się, że ktoś wysoko postawiony dał ci doskonałą rekomendację - odparła Alison.

- Więc powiedz mu, że moje przyjaciółki są równie kompetentne, bo w przeciwnym razie nie pracowałyby ze mną.

- Sama mu to powiedz - poradziła Kit. - Jeśli usłyszysz to z naszych ust, pomyśli, że podkradamy ci klientów.

- Dobrze, zadzwonię do niego w poniedziałek - obiecała.

- Która z was będzie mogła się tym zająć? Kit?

- O nie, jeszcze nie zdążyłam odrobić zaległości po podróży poślubnej. Poza tym nie mam tak genialnych pomysłów jak ty.

- Jeśli nie uda ci się znaleźć czasu, spróbuję się tym zająć

- zobowiązała się Alison. - Tylko nie rób sobie zbyt wielkich nadziei, bo facet jasno powiedział, że zależy im na tobie.

Następnego ranka Susannah była w połowie drogi do Rockford, gdy zadzwonił jej telefon komórkowy. Tak się wystraszyła, że omal nie straciła panowania nad samochodem.

- Przepraszam, że ci zawracam głowę, Sue - usłyszała głos Kit. - Zupełnie zapomniałam, że w tę sobotę przypada kolejna wizyta u twojej mamy.

- Jeśli to coś pilnego, Kitty, to wracam dziś wieczorem - poinformowała.

- Nie, nic pilnego, chciałam cię po prostu przeprosić za wczorajszą wieczór. Ty i Ali tak dzielnie mi pomagałyście jeszcze kilka tygodni temu, a teraz wygląda na to, że mam cię w nosie. Nie zapomniałam, jak wiele dla mnie zrobiłaś, tylko ten facet z Universal Dynamics upierał się, że to musisz być ty. Powinnam była powiedzieć wczoraj, że jeśli mogę ci pomóc w przygotowaniu któregoś z pozostałych projektów, jestem do twoich usług.

- Ależ ty też masz pełne ręce roboty, Kitty - zaprotestowała.

- Nieważne, po prostu chcę ci pomóc. Pamiętaj o tym, dobrze?

Susannah poczuła *wdzięczność dla* obydwu przyjaciółek, które dbały o nią, jak gdyby były jej siostrami. Wszystkie trzy kierowały się zasadą: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, dzięki czemu zawsze można było mieć tę kojącą pewność, że w razie kłopotów znajdzie się ktoś, kto poratuje dobrą radą, pastylką aspiryny czy też wyciągnie pomocną dłoń. Tylko dzięki temu zdołały przetrwać w doskonałej komitywie najtrudniejsze trzy lata rozruchu firmy. Dlatego też nie mogła ich teraz zawieść,

bo kontrakt z Universal Dynamics był szalenie ważny dla przyszłości Tryad. Może będzie miała szczęście i okaże się, że owo tajemnicze zlecenie będzie na tyle nieskomplikowane, iż wykona je w ciągu jednego dnia.

Dom, w którym mieszkała Elspeth Miller, usytuowany był na obrzeżach Rockford, dzięki czemu Susannah nie musiała się przebijać przez sznur samochodów. Był to jeden z niewielu pozytywnych aspektów comiesięcznych wizyt u matki.

Drzwi otworzyła Karen Edgar, która ubrana była tak, że gdyby Susannah nie znała jej od ponad roku, nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że może być pielęgniarką.

- Jak się miewa mama? - zapytała Susannah, w głębi serca obawiając się tego, co może usłyszeć.

- Jest chyba trochę słabsza fizycznie, szybciej się męczy i łatwiej irytuje. W dodatku chwile, gdy nie wie, co się wokół niej dzieje, zdarzają cię coraz częściej i, niestety, trwają coraz dłużej. Trudno powiedzieć, co będzie dalej, jako że nie wiadomo, co wywołało jej chorobę.

Susannah była jedyną osobą, która wiedziała, dlaczego matka straciła kontakt z otaczającym ją światem.

- Zresztą, pani matka jest szczęśliwa w swoim małym świecie iluzji - kontynuowała. - Myśli, że jestem ochmistrzynią, a nie przełożoną pielęgniarek, zaś resztę pracowników uważa za służących. Tylko dozorca jej się nie podoba, zwalniała go już z dziesięć razy za to, że jest tak nieporządnym lokajem. Nie może zrozumieć, dlaczego on mimo to codziennie pojawia się w pracy.

- Ojej, tak mi przykro - westchnęła Susannah.

- Proszę się tym nie przejmować. Mam nadzieję, że następnym razem będę miała dla pani lepsze wiadomości.

Susannah nie była przekonana, Czy to w ogóle możliwe. Obawę tę nosiła w sercu od chwili, gdy przed paroma laty zdała sobie sprawę, że coraz częstsze depresje i wybuchy gniewu matki przekroczyły już granicę ekscentryczności i stały się objawami choroby psychicznej.

Gdy weszła do pokoju, zajmowanego przez Elspeth Miller, ujrzała ją pochyloną nad leżącymi na biurku kopertami.

- Witaj, mamó - odezwała się, przywoławszy na twarz uśmiech.

- Gdzieś ty była? - zganiła ją matka, marszcząc z niezadowolaniem brwi. - Obiecałaś, że pomożesz mi w wypisywaniu zaproszeń. Koniecznie trzeba je wysłać jeszcze dzisiaj.

- Pracowałam, mamó - odparła, siadając obok.

- Młode damy z dobrych domów nie powinny pracować. Gdybyś mnie usłuchała, a nie upierała się, że chcesz wyjść za tego robotnika...

- Przecież nie wyszłam za niego, mamó. Nie pamiętasz?

- Może i tak. Nieważne, mam teraz mnóstwo pracy. Muszę ustalić, kto gdzie będzie siedział, jakie będzie menu. Wypisz kilka zaproszeń, dobrze?

Dwie godziny później matka zasnęła, wyczerpana przygotowywaniem przyjęcia, które nigdy nie miało się odbyć.

Susannah przesiedziała w samochodzie ponad pół godziny, zanim nabrała sił, by odbyć powrotną podróż do domu. Dziwne, że tego akurat dnia matka wspomniała o Marcusie, przecież odkąd rozpoczęła się jej choroba, ani razu jego imię nie padło z jej ust. Czyżby jakimś cudem zdołała przeniknąć myśli córki?

W poniedziałkowe popołudnie Susannah zatelefonowała do Pierce'a, doszła bowiem do wniosku, że ta dziwaczna cisza trwa

już stanowczo zbyt długo, i że najwyższa pora dowiedzieć się, jaka była reakcja członków rady nadzorczej na oświadczenie Marcusa. Poza tym zbliżała się do końca opisywania dzieł z kolekcji Cyrusa, miała więc kilka szczegółowych pytań, z którymi mogła się zwrócić jedynie do Pierce'a.

Głos asystentki, która odebrała telefon, wydał jej się podejrzanie zaaferowany, podobnie zresztą jak przeciągająca się cisza, zanim Pierce podniósł słuchawkę.

- Susannah! - powitał ją nieoczekiwanie radośnie. - Nic spodziewałem się ciebie. Jak przypuszczam, miło spędziłaś weekend, prawda?

Z przekąsem pomyślała o kilku sobotnich godzinach w towarzystwie matki. Dopiero po chwili zorientowała się, że owo pytanie zostało wypowiedziane bardzo dziwnym tonem.

- Czy ja wiem? Chyba normalnie. A czemu pytasz?

Pierce zachichotał.

- Bo kiedy zadzwoniłaś, rozpakowywałem płótno Evansa Jacksona. Przyniesiono je dziś rano, z serdecznymi pozdrowieniami od Marcusa Herringtona.

„Po jednym obrazie. Za każdym razem, gdy Susannah pójdzie ze mną do łóżka”.

A więc, otrzymawszy płótno Jacksona, Pierce wysnuł oczywisty wniosek. Zresztą, zrobiłby to każdy, kto był obecny na owym pamiętnym wernisażu.

Odłożywszy na bok słuchawkę, oparła głowę na biurku. A ona była przekonana, że gdy go weźmie na przeczekanie, Marc prędzej czy później zrozumie, iż jej odmowa jest ostateczna.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Susannah, jesteś tam? - zawołał Pierce do słuchawki.  
- Tak, jestem - odparła słabym głosem.  
- Myślę, że skoro już mamy obraz Jacksona, to powinniśmy zacząć obmyślać kampanię reklamową.

- Pierce, jak możesz! - oburzyła się. - Wybij sobie z głowy, że jeszcze cokolwiek dostaniesz od Marcusa. A dla twojej wiadomości: wcale z nim nie spałam i nie mam pojęcia, czemu ci przysłał ten obraz.

- Nie musisz się przede mną tłumaczyć.  
- Masz rację, nie muszę - odparowała, po czym z wściekłością rzuciła słuchawkę na widełki.

Była na niego zła, że zachował się tak gruboskórnie, ale Marc przeszedł już samego siebie. Najwyższa pora, żeby wyniszczyła mu, jaką ma opinię na jego temat. Podjąwszy to postanowienie, zerwała się na nogi i chwyciwszy kluczyki od samochodu, zbiegła na dół po schodach. Gdy szła w kierunku tylnego wyjścia, Rita odłożyła słuchawkę i zamachała ku niej ręką.

- Susannah! - zawołała.  
- Nie mam w tej chwili czasu - rzuciła przez ramię. - Nie wiem, kiedy wrócę, ale jeśli otrzymasz telefon z więzienia stanowego, nie dziw się, bo będzie to prośba o wpłacenie za mnie kaucji, ponieważ oskarżają mnie o popełnienie morderstwa.

Dopiero gdy zamknęła usta, zorientowała się, że Rita nie była

sama w recepcji. W jednym z eleganckich skórzanych foteli siedział nieznajomy mężczyzna. Sądząc po jego minie, był całkowicie zaskoczony jej wybuchem.

- Przepraszam, ale wie pan, jak to czasem jest - powiedziała tonem usprawiedliwienia, po czym pospieszyła w kierunku wyjścia.

Miała nadzieję, że nie dosłyszał jej imienia, a nawet jeśli tak, to sądził, iż jest zwykłym pracownikiem, a nie jedną ze współwłaścielek firmy. Jeśli jednak wyrobił sobie niekorzystną opinię na temat Tryad, to był to jeszcze jeden z jej kłopotów, których sprawcą był Marc.

Zastała go ułożonego wygodnie na trawniku przed domem Cyrusa, przy nim zaś leżał nieodłączny O'Leary. Marc miał na sobie wyjątkowo wytarte dżinsy, zaś jego koszula wisiała na gałęzi pobliskiego drzewa, powiewając łagodnie na wietrze.

- Liczę, że masz coś na swoje usprawiedliwienie - wybuchła, jeszcze bardziej zirytowana widokiem jego zrelaksowanej pozy.

- A czemu niby miałbym się usprawiedliwiać? - zapytał, leniwie otwierając oczy.

- Chyba mi się to należy, bądź co bądź też jestem w to uwikłana.

- Uwikłana w koszenie trawy? - zapytał, siadając.

O'Leary mruknął z niezadowoleniem, że zmuszono go do zmiany pozycji, po czym przesunął się tak, aby ułożyć pysk na kolanie swego pana.

- Nie powiesz mi chyba, że Cyrus nie zatrudniał nikogo do koszenia trawy? - zauważyła kpiącym głosem.

- Oczywiście, że zatrudniał - przyznał Marc. - Ale doszedłem do wniosku, że przyda mi się trochę ruchu.



- Poza tym, po co płacić za coś takiego, skoro można dzięki temu zatrzymać w kieszeni kilka Cyrusowych dolarów więcej, prawda? Nie udawaj, Marc, wiesz doskonale, czemu tu jestem i nie ma to nic wspólnego z koszeniem trawy - nie dała się zbić z tropu. - *Jak śmiałeś wysłać ten obraz do muzeum?*

- Ach, o to ci chodzi. Ten obraz należał do mnie, więc mogłem zrobić z nim, co chciałem - przypomniał.

- Owszem, ale teraz wszyscy myślą, że... że... - słowa nie chciały jej przejść przez gardło.

- Że ze sobą sypiamy? - podsunął, - Przykro mi, kochanie, ale to już nie mój problem.

- I mam wierzyć, że nie chciałeś, aby tak to odebrali? - podniosła głos. - Daj spokój, Marc, po tym wszystkim, co powiedziałeś podczas wernisażu, posłanie tego obrazu do muzeum było jak powieszenie przy prowadzącej na lotnisko autostradzie napisu „Susannah Miller spała ze mną”. Co dalej zamierzasz? Jeśli zaczniesz przysyłać Pierce'owi jeden obraz dziennie...

- O, nie, nie ma mowy - zapewnił, podnosząc się i strzepując ze spodni kawałeczki trawy.

- A to dlaczego? - zapytała, ponieważ ton jego głosu wydał jej się wysoce podejrzany.

- Zdecyduj się - poradził. - Najpierw nie życzysz sobie, żebym przysyłał Pierce'owi jeden obraz dziennie, a zaraz potem przyglądasz mi się podejrzliwie, gdy mówię, że nie mam takiego zamiaru. Po prostu mam do tej kwestii podejście ekonomiczne - oświadczył, sięgając po koszulę. - Cyrus nie zostawił mi nieukończonych obrazów, więc nie mogę ich tak rozdawać, nie otrzymując nic w zamian. Chyba że potraktujemy to jako zaliczkę, to jestem gotów przekazać jeszcze kilka płócien.

- Cóż za poświęcenie - prychnęła. - Nie udawaj, przecież i tak nie podobał ci się tamten obraz.

- Temu nie zaprzeczę. - Uśmiechnął się. - Gdybym musiał patrzeć na niego choćby przez jeszcze jeden dzień, pewnie zrobiłbym z niego nowe posłanie dla O'Leary'ego.

- Czy to znaczy, że pies nie śpi w twoim łóżku? - wyrwało jej się.

- Ależ skąd! - zaprzeczył, uśmiechając się zmysłowo. - To miejsce jest zarezerwowane dla ciebie.

- Wykluczone, nie sypiam z żonatymi mężczyznami - odparła stanowczo.

Zapadła cisza, która zdawała się trwać wieczność.

- Ciekaw jestem, czemu tak się przy tym upierasz - odezwał się wreszcie Marc. - Czy to dlatego nie wyszłaś za ojca twego dziecka?

- Głęboka analiza psychologiczna, ale niestety popełniłeś błąd w założeniu - odparła drwiąco.

- Być może. W każdym razie nie musisz się obawiać, że złamiesz swoją świętą zasadę.

- Jak to?

- Bo nie jestem żonaty - odparł spokojnie. - Kto ci naopowiadał takich bzdur?

Susannah czuła, jak wzbiera w niej gniew. Dlaczego pozwolił jej wierzyć w to, że ma żonę? Była oprócz tego jeszcze jedna rzecz, która ją gnębiła. Dlaczego odczuwała tak ogromną ulgę?

- Kto?! Ty! Nie pamiętasz, jak mówiłeś, że krótkie rozstania mogą wpłynąć pozytywnie na małżonków? - przypomniała.

- A, o to ci chodzi. Mówiłem tylko hipotetycznie.

- Jasne, złóż winę na mnie - zirytowała się. - Może jesz-

cze powiesz, że wymiana obrazów za seks to też był *mój* pomysł?

- Owszem - zgodził się.

Wstrząśnięta tym, co powiedziała, na dłuższy moment zanie-mówiła. Marc tymczasem schylił się, by podnieść leżący obok patyk i cisnął go daleko, by O'Leary go aportował.

- Czy mógłbyś to wyjaśnić? - wykrztusiła wreszcie.

- Powiedziałaś kiedyś, że należy dbać o swe interesy, prawda? Pomyślałem, że właściwie dobrze byłoby, gdybym miał się również na baczności, gdy chodzi o ciebie.

- I co ma jedno z drugim wspólnego? - niecierpliwiła się.

- Pozwól, że dam ci przykład. Jak chronisz się przed groźną chorobą?

- Nie rozumiem...

- Bierzesz szczepionkę, prawda? Zawiera ona niewielkie ilości wirusa czy bakterii, wywołujących tę chorobę - wyjaśnił.

- Wtedy twój organizm nabiera odporności, wytwarzając przeciwciała.

- Czyli to ja jestem tą groźną chorobą, a seks ze mną ma sprawić, że zyskasz odporność? - wynioskowała.

- Strzał w dziesiątkę. - Uśmiechnął się. - Myślę, iż każdy regularny kontakt sprawiłby, że nabrałbym odporności, ale spa-nie razem to zdecydowanie szybszy sposób.

- To już szczyt wszystkiego! - oburzyła się.

- U ciebie też mogłoby to zadziałać - argumentował.

- Mam się uodpornić na ciebie? A po co, i tak już jestem dostatecznie odporna!

To powiedziawszy, odwróciła się na pięcie i przeszła przez pachnący intensywnie trawnik w kierunku bramy. Wbrew swej woli, rzuciła za siebie ukradkowe spojrzenie. Zarówno Marc,

jak i biegający wokół niego O'Leary, wyglądali, jak gdyby niczego im nie brakowało do szczęścia.

Pierwszą rzeczą, jaką Susannah uczyniła po powrocie do biura, było zajrzenie do recepcji, gdzie urzędowała Rita. Sekretarka spojrzała na nią niepewnie.

- Bardzo cię przepraszam za moje zachowanie - powiedziała ze skrucą Susannah. - Mam nadzieję, że ten klient nie uciekł, gdzie pieprz rośnie.

- Nie, chociaż przez chwilę wyglądał, jak gdyby zastanawiał się nad taką możliwością. Na szczęście zjawiła się Alison, więc załagodziła sytuację.

- To dobrze - westchnęła z ulgą. - Obiecuję, że następnym razem rozejrzę się dokładnie, zanim ulegnę emocjom. Czy Alison jest u siebie?

- Nie, w sali konferencyjnej razem z Kit. Prosiły, żebyś do nich dołączyła, kiedy wrócisz — poinformowała Rita.

Susannah podeszła niepewnym krokiem do ogromnych dębowych drzwi, za którymi znajdowała się sala konferencyjna. Nie spodziewała się ostrej reprymendy, ponieważ żadna z ich trójki nie miała takiej władzy nad pozostałymi. Dręczyły ją raczej wyrzuty sumienia, że rozczarowała swe przyjaciółki, że przyniosła im wstyd i utrudniła życie.

Gdy weszła, ujrzała, że na szerokim stole leży rozłożony scenariusz filmu promocyjnego, nad którym Alison pracowała od tygodni, zaś Kit stoi obok na jednym z krzeseł, najprawdopodobniej demonstrując, jak powinno się wykonać któreś z ujęć. Drzwi skrzypnęły cicho i w jednej chwili poczuła na sobie spojżenia współpracowników.

- Przepraszam, nie chciałam wam przeszkodzić.

- Już prawie skończyliśmy - oznajmiła Alison.  
- Mów, umieram z ciekawości, kogo wreszcie zamordowa-  
łaś? - chciała wiedzieć Kit. - Pierce'a? Herringtona? A może  
kogoś, o kim nigdy nie słyszałyśmy?

- Nikogo - odparła z ciężkim westchnieniem.

- Tak trzymać! - ucieszyła się Kit. - Wypieraj się do ostat-  
niej chwili. Jak sądzisz, uda ci się uniknąć kary, czy może  
powinnyśmy jednak wymyślić ci jakieś alibi?

Susannah pokazała jej język, po czym odwróciła się do Ali-  
son, momentalnie poważniejąc.

- Naprawdę, bardzo cię przepraszam. Rita mówi, że zdener-  
wowałam twojego klienta.

- To nie był mój klient - zaprzeczyła Alison. - Znalazłam  
się wprawdzie w recepcji tuż po tym, jak wygłosiłaś swoje słyn-  
ne oświadczenie, ale potem cały czas pracowałam nad tym sce-  
nariuszem.

- Więc to był twój klient, Kitty?

- Nie. - Pokręciła głową tamta. - Przez cały dzień byłam  
na górze w pracowni.

- Więc czyj? - Susannah rozłożyła bezradnie ręce.

- Próbowałam ci to powiedzieć, kiedy wróciłaś - odezwała  
się Rita, która stanęła w drzwiach. - Ten pan przyszedł do cie-  
bie. Usiłowałam się do ciebie dodzwonić, gdy zbiegłaś nagle  
i oświadczyłaś, dlaczego musisz wyjść.

Susannah zamknęła oczy z przerażenia.

- Chwileczkę, przecież nie byłam dziś z nikim umówiona  
- przypomniała sobie.

- Zostawił wizytówkę - oznajmiła sekretarka, podając jej  
elegancki kremowy kartonik.

Przeczytawszy, co było na nim napisane, opadła bezsilnie na

krzesło. „Amos Richards, dyrektor działu public relations, Universal Dynamics”.

Universal Dynamics, nowy klient, który mógł przynieść ich firmie sławę oraz duże pieniądze. Mógł też je zniszczyć, wystarczyło tylko, by tu i tam opowiedział, co go spotkało w ich biurze.

Susannah nawet nie zdawała sobie sprawy, że nasłuchiwała kroków Kit, zrozumiała to dopiero, gdy jak zahipnotyzowana wyszła ze swego gabinetu i ruszyła za przyjaciółką.

- Czy mogę na chwilę? - zapytała, zaglądając do gabinetu Kit, która właśnie siadała za biurkiem.

- Chodź - zaprosiła ją. - Jeśli to ta sprawa z Universal Dynamics wciąż nie daje ci spokoju...

- Owszem - mruknęła Susannah, ułożywszy się na sofie, tak że jej nogi spoczywały w miejscu, gdzie powinna być głowa.

- Zmarnowałam taką okazję i nie mam pojęcia, jak powinnam teraz postąpić. Poczekać... niech emocje trochę ostygną i zadzwonić za kilka dni, czy może załatwić to jak najprędzej, żebym nie wyszła na tchórza?

- Czy ja wiem? - zastanawiała się Kit. - Chociaż pewnie lepiej byłoby, gdybyś zatelefonowała teraz i miała to jak najszybciej z głowy.

- Więc nie sądzisz, że powinnam jednak poczekać?

- Na co? Czy zależy ci na tym, żeby gryźć się tą sprawą jeszcze kilka dni? - zapytała rozsądnie przyjaciółka. - A teraz uciekaj, mam mnóstwo pracy, zresztą ty też.

Podniosła się z sofy i po drodze do wyjścia uściskała współpracowniczkę.

- Umiesz wprawić człowieka w lepszy nastrój, Kitt - powiedziała z uśmiechem.

Z dużo lżejszym sercem wróciła do swego gabinetu, gdzie na biurku, oparta o lampkę, leżała wizytówka Amosa Richardsa, której widok jeszcze przed kilkoma minutami sprawiał, że coś ścisnęło ją w gardle. Teraz jednak Susannah była zdecydowana, iż zrobi wszystko, aby nie zawieść swych przyjaciółek, zarówno jeśli chodzi o kontrakt z Universal Dynamics, jak i w przypadku kolekcji Cyrusa Albrechta. Tylko jeśli Marc się uprze... Jak wielkie poświęcenie będzie gotowa ponieść dla dobra Tryad?

Zatelefonowanie do Amosa Richardsa było doskonałym pomysłem. Skupi się na pracy i przestanie myśleć o Marcusie i jego dziwnym stwierdzeniu, że fizyczne zauroczenie jest jak wirus, który można unicestwić za pomocą seksu, tak by się już więcej nie rozprzestrzeniał. Zaraz, zaraz, czy miało to oznaczać, że Marc faktycznie był nią zauroczony? Do tej pory nie przyszło jej to do głowy, ale gdy się zastanowić, właśnie taki wniosek można było wysnuć z jego słów. Ciekawe...

Nie była nawet zdziwiona, gdy tego samego popołudnia Rita weszła do jej gabinetu i oznajmiła, że Marc zajrzał na chwilę i powiedział, że będzie czekał na nią na podwórku, grając w koszykówkę z okolicznymi dziećmi, zaś jeśli będzie chciała się wymknąć tylnym wyjściem, to szkoda zachodu, bo on i tak zna jej adres.

- Jeśli się jeszcze zjawi, powiedz, że nawet by mi nie przyszło do głowy uciekać przed nim i że zejdę, kiedy uporam się z pracą - poprosiła sekretarkę.

Oczywiście jak najdłużej odwlekała wyjście z gabinetu, aż do chwili, gdy każda kartka papieru znalazła się na swoim miejscu.

Widocznie mecz koszykówki już się zakończył, gdyż zastała

Marcusa siedzącego na schodach, prowadzących do Tryad. Miał na sobie znoszone dżinsy oraz bawełnianą koszulkę, zaś w zębach trzymał źdźbło trawy. Wyglądał na całkowicie odpęzonego i zadowolonego z życia.

- Biedaku - powiedziała, siadając obok. - Nie możesz zbyt długo przebywać z dala ode mnie?

- Czy to nie straszne? - westchnął. - Czuję, że wirus rozprzestrzenia się w zatrważającym tempie.

- Nie oszukuj się, masz do mnie słabość już od ośmiu lat - oznajmiła z pozorną powagą.

- Zdaje się, że masz rację - przyznał takim tonem, jak gdyby właśnie dokonał jakiegoś odkrycia. - Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że każdą kobietę, jaką spotkałem, podświadomie porównywałem do ciebie. Było ich ze trzysta, więc możesz sobie wyobrazić, co to za tortura.

- Trzysta? - powtórzyła ze zdziwieniem. - Ależ to wychodzi mniej więcej jedna na dziesięć dni.

- Naprawdę? Nigdy nie liczyłem.

- To tylko potwierdza moją tezę, Marc. Spanie ze mną nie pomoże ci się uodpornić, ponieważ jest już na to zbyt późno. Będziesz tylko z każdym dniem coraz bardziej mnie pragnął.

Marc, ni z tego, ni z owego, objął ją ramieniem i przytulił mocno do siebie.

- W takim razie spróbujmy się przekonać, kto rzeczywiście ma rację.

- Ależ nie możesz tak ryzykować - zaprotestowała. - Co będzie, jeśli skończą ci się obrazy?

Najwyraźniej w ogóle jej nie słuchał. Ująwszy ją pod brodę, zmusił, by spojrzała mu prosto w oczy, w których igrały dziwne iskierki. W następnej chwili poczuła miękkość jego ust na



swych wargach i, wbrew samej sobie, zapomniała o całym bożym świecie. Ciepło, bijące od jego ciała, napawało ją poczuciem bezpieczeństwa, jakiego z całego serca pragnęła, jakiego tak bardzo jej w życiu brakowało. Teraz znalazła je w ramionach *mężczyzny, z którym los związał ją powtórnie, z sobie tylko znanych powodów...*

- Nie przeszkadzajcie sobie - dobiegł ją głos Kit, tak niewyraźny, jak gdyby znajdowała się daleko, daleko stąd.

Otworzyła oczy i ujrzała nad sobą dwie zaintrygowane twarze przyjaciółek.

- Nie chciałybyśmy sprawiać kłopotu, ale... - ciągnęła Kit.  
- Już wiem, wrócimy do biura i wyjdziemy tylnymi drzwiami. Chodźmy, Ali.

W tym momencie ze schodów, prowadzących do drugiej części kamienicy, dobiegł ich nieco zachrypnięty głos.

- Co tu się dzieje?

Chwilę później nad niewysokim ogrodzeniem, dzielącym obie posesje, pojawiła się pomarszczona twarz sąsiadki.

A mnie się zdawało, że już nic gorszego nie może się wydarzyć, pomyślała z rozpaczą Susannah.

- Tak na schodach! - Pani Holcomb posłała im oburzone spojrzenie. - Nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

- Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości - mruknęła pod nosem Alison, za co otrzymała kuksańca od Kit.

- Proszę się nie niepokoić, pani Holcomb - zawołała Kit.  
- Wszystko jest pod kontrolą.

Marc uśmiechnął się czarująco i troskliwie oparłszy Susannah p kolumnę, przywitał się z jej przyjaciółkami.

- Pan zapewne nazywa się Marc Herrington - zawyrokowała Kit. - Miło mi pana poznać. Może innym razem, kiedy Sue

będzie czuła się trochę lepiej, spotkamy się wszyscy, wypijemy kawę i porozmawiamy.

To powiedziawszy, zeszła po schodkach na chodnik i nie oglądając się, ruszyła w kierunku parkingu, Alison zaś podążyła za przyjaciółką.

- Masz bardzo miłe koleżanki - zauważył Marc, siadając ponownie obok niej. - Przypomnij mi, kto to miał cierpieć z powodu skutków ubocznych spania ze sobą?

Susannah zastanawiała się, czy wróciłby jej rozum, gdyby kilka razy grzmotnęła głową w kolumnę.

- Dobrze, że zatelefonowałem dziś do Pierce'a i zapytałem, który obraz chciałby otrzymać w następnej kolejności - ciągnął z zadowoleniem. - Czy mam zadzwonić do niego jeszcze raz i zapowiedzieć, że jutro może się spodziewać kolejnej przesyłki?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY.

- Nie mam zamiaru kontynuować tej rozmowy - oznajmiła Susannah, podnosząc się.

- Ależ, kochanie, przyjechałem tu taki szmat drogi, żeby zadać ci pewne pytanie, a ty nawet nie dajesz mi szansy, żebym mógł to zrobić - zaprotestował, podrywając się zwinnie.

- Miałeś mnóstwo okazji, ale wykorzystałeś je na inne rzeczy.

- Właściwie to mam parę pytań. Po pierwsze... A może moglibyśmy przejść w jakieś bardziej ustronne miejsce? Chyba że lubisz być obserwowana przez sąsiadów.

- Nie, nie lubię i nie mam zamiaru iść z tobą w ustronne miejsce, bo jeszcze przyjdzie ci do głowy ponowić atak - odparła stanowczo.

- O, nie, nigdy się nie powtarzam - zapewnił szczerze. - Co powiesz na filiżankę kawy?

- Jak przypuszczam, jeśli się nie zgodzę, pošlesz Pierce'owi kolejny obraz?

- Moja droga, masz wprost genialne pomysły - pochwalił.

- Jak już wspomniałem, Cyrus nie pozostawił mi nieskończonej liczby płócien, ale nie wiesz chyba jeszcze, że miał magazyn. Co ty na to, żebyśmy tam pojechali, a po drodze wstąpili gdzieś na kawę?

- Dziękuję, ale nie.

- W takim razie jutro - nie dawał za wygraną. - I tak będziemy musieli przeprowadzić tam inwentaryzację.

Na myśl o magazynie pełnym obrazów zrobiło jej się słabo.

- Jutro też nie. - Potrząsnęła przecząco głową. - Muszę wpaść do muzeum, żeby porozmawiać z Pierce'em o kampanii... - Urwała, spostrzegłszy, że powiedziała zbyt wiele. - Muszę też zajrzeć do biblioteki, żeby sprawdzić parę rzeczy. Potem mam spotkanie z szalenie ważnym nowym klientem.

Wbrew jej oczekiwaniom, Marc nie połknął przynęty i nie zapytał, kim jest ten niesłychanie ważny klient. I tak by mu zresztą nie wyjawiała jego nazwiska, nie chciała bowiem zapełnić, ale przynajmniej odwróciłaby jego uwagę od kłopotliwego tematu.

- Przypuszczam, że zawahałaś się, bo nie chciałaś mi powiedzieć, że ty i Pierce będziecie rozmawiać o obrazie Evansa Jacksona - orzekł po dłuższej chwili zastanowienia. - Dziwne, że nie wspomniał o tym, gdy do niego telefonowałem, prawda? Wydawało mi się, że darczyńca jest dosyć istotną postacią.

Susannah przekonana była, że milczenie Pierce'a nie było efektem przeoczenia, ale wynikało ze zdrowego rozsądku, nie miała jednak ochoty przyznawać się do tego głośno.

- Wcale nie jest to dziwne - zaprzeczyła. - Zdecydowana większość darczyńców woli zachować anonimowość, chociażby dlatego, żeby nie musieli się później ukrywać przed ścigającymi ich dyrektorami innych muzeów, liczącymi na to, że i oni otrzymają jakiś obraz. Poza tym był kiedyś przypadek, że znany kolekcjoner podarował pewnemu nowojorskiemu muzeum jeden ze swych obrazów, po czym okradziono go do szczętnie.

- Cóż, nie byłoby to takie złe, przynajmniej nie musiałbym

się martwić, co zrobić z resztą kolekcji - zauważył. - To jak, idziemy na kolację?

- Kolację? - zdziwiła się. - Wydawało mi się, że mówiłeś coś o kawie.

- Owszem, ale im dłużej będziesz to odwlekała, tym wyższa będzie stawka.

— Nie trzeba być specjalnie błyskotliwym, żeby się domyślić, co jest następne w kolejności - mruknęła. - W takim razie chodź, zaparzę kawę.

Otworzywszy frontowe drzwi, zaprosiła go gestem do środka i poprowadziła ku niewielkiej kuchence.

- Chcesz zwykłą kawę, czy może smakową? Mamy orzechową i po irlandzku.

- Zwykłą, nie lubię takich udziwnionych. Czy muszę wykręcić zero, żeby zadzwonić? - zapytał, sięgając po słuchawkę wiszącego obok aparatu.

- Nie, nie musisz. A dokąd dzwonisz?

- Chcę zamówić coś do jedzenia - wyjaśnił, kartkując książkę telefoniczną. - Nadal lubisz chińszczyznę czy może wolisz pizzę?

- Nie mam ochoty... - zaczęła, ale urwała, doszedłszy do wniosku, że im dłużej się będzie kłóciła, tym mniejszy skutek to przyniesie. - Chińszczyznę. Na okładce zapisany jest numer do restauracji, w której mają bardzo smaczne chińskie potrawy.

Włączyła ekspres, po czym wyjąwszy z szafki dwie filiżanki, postawiła je na niewielkim sosnowym stoliku. Zerknęła na niewygodne drewniane krzesła, z których tak często się śmiały wraz z Kit, że są wynikiem dobrego wychowania Alison, która w ten taktowny sposób skróciła wszelkie przerwy na kawę do niezbędnego minimum. Teraz okazało się, że Alison oddała jej

w ten sposób nieocenioną przysługę, ponieważ prędzej czy później plecy rozbolą go tak, że będzie musiał sobie pójść.

Słuchała, jak składa ogromne zamówienie, tak wielkie, że można by obdzielić tym jedzeniem przynajmniej pięć osób. Miała nadzieję, że nie zechce zostać tak długo, dopóki % talerza nie zniknie ostatni okruszek.

- Chciałem się poradzić cię w kwestii podatkowej - oznajmił, siadając przy stole.

- - Przykro mi, ale nie jestem ekspertem w tej dziedzinie - odparła, po czym odwróciła się, by nalać kawy do filiżanek.

- To nic. W każdym razie Joe Brewster twierdzi, że lepiej bym na tym wyszedł, gdybym podarował obrazy jakiemuś państwowemu muzeum, ponieważ wtedy mógłbym sobie odliczyć to od podatku jako darowiznę.

- Po co mi o tym mówisz? - Skrzywiła się. - Żebyś zaczęła cię przekonywać, że lepiej będzie, gdy przekażesz kolekcję Cyrusa Dearborn Museum? Nie ma mowy, bo wtedy doszedłbyś do wniosku, że naprawdę chcę pójść z tobą do łóżka.

- A nie chcesz? - Uśmiechnął się zawadiacko.

Stawiała właśnie przed nim filiżankę gorącej kawy, musiała więc użyć całej siły woli, aby nie wylać na niego parującego napoju.

- Wyobraź sobie, że nie - odparła. - Rób więc, co twój prawnik uważa za najkorzystniejsze dla twych finansów.

- Dobrze - mruknął. - Na pewno będzie ci przyjemnie słuchać, jak oznajmiam Pierce'owi oraz radzie nadzorczej Dearborn, że postanowiłem przekazać kolekcję innemu muzeum.

Bez słowa wzruszyła ramionami.

- Jak uważasz. Pomyślałem po prostu, że powinienem cię ostrzec - dodał.

- Dziękuję za pamięć - prychnęła. - Skoro już powiedziałeś, co miałeś powiedzieć, to chyba nie ma konieczności, żebyś czekał na jedzenie. Odwołam zamówienie i...

Urwała, bo Marc opróżnił jednym haustem filiżankę, po czym podniósł się.

- Do zobaczenia. Nie wiem, kiedy, skoro jutro jesteś zajęta. Daj mi znać, kiedy będziesz mogła zacząć inwentaryzację magazynu - poprosił, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Po chwili dobiegło ją donośnie trzaśnięcie frontowych drzwi. Dlaczego tym razem tak szybko udało jej się go pozbyć? Przecież wspominał, że ma do niej kilka pytań, a zadał tylko jedno. Dlaczego tak prędko zmienił zdanie? I, co najważniejsze, dlaczego jego wyjście sprawiło jej tak ogromną przykrość?

Gdy następnego przedpołudnia Susannah zjawiła się w Dearborn Museum, Pierce pochłonięty był objaśnianiem kilku starszym paniom znaczenia wiszącego na honorowym miejscu płótna Evansa Jacksona. Spostrzegłszy ją, gestem zachęcił, aby zaczekała w jego biurze, gdzie posłusznie się udała z nadzieją, że oprowadzanie wycieczki nie zajmie mu zbyt wiele czasu. Aby się czymś zająć, sięgnęła po stos magazynów poświęconych sztuce. Kartkowała już trzeci z kolei, gdy jej uwagę przykuła ogromna reklama nowego przedstawienia baletowego, sponsorowanego w całości przez Universal Dynamics. Przyjrzała jej się z zaciekawieniem, a także z rosnącym podziwem dla jej twórców, którzy wykazali się niemal perfekcyjnym wycuciem i smakiem artystycznym. Gdyby do tej pory nie miała zbyt wielkiej chęci poznać Amosa Richardsa i współpracować z Universal Dynamics, teraz z pewnością zmieniłaby zdanie. Nie

dość, że posiadanie tak ogromnej firmy wśród swych klientów dodałoby Tryad prestiżu, to jeszcze współpraca z cieszącą się międzynarodową renomą agencją, która przygotowała ową reklamę, zapewniłaby jej znaczny przypływ nowych zleceńodawców.

Wyjęła z torebki kalendarzyk, by sprawdzić, czy dobrze zapamiętała godzinę spotkania w Universal Dynamics. Nagle zaczęło jej niesłychanie zależeć, aby zrobić doskonałe wrażenie na Amosie Richardsie.

Wreszcie do gabinetu wszedł Pierce.

- Uff - sapnął, opadłszy na fotel. - Myślałem, że już nigdy nie dadzą mi spokoju. Jak ci idzie inwentaryzacja?

- Powoli - westchnęła. - Czy wiedziałeś, że Cyrus ma też magazyn?

- Naprawdę? - Oczy Pierce'a zalśniły drapieżnie. - Zawsze mnie ciekawiło, co robił z obrazami, które mu się znudziły. Nie słyszałem, żeby kiedykolwiek coś sprzedał, ciągle tylko kupował.

- Jeszcze nie byłam w tym magazynie, więc nie wiem, co w nim jest - ostrzegła.

- Nieważne, nie musisz się spieszyć - uspokoił ją. - Skoro i tak otrzymamy całą kolekcję sztuka po sztuce...

- Na twoim miejscu bym na to nie liczyła - przerwała ostro.

- Dlaczego?

- Ponieważ wygląda na to, że Marc ostatecznie zmieni zdanie.

- Chcesz, żebym uwierzył, że nie potrafisz zatrzymać na sobie uwagi faceta, takiego jak Herrington, przez dłużej niż jeden weekend? - Roześmiał się nieprzyjemnie. - Daj spokój, Susannah...



- Ależ oczywiście, że potrafiłaby utrzymać moją uwagę, gdyby tylko zechciała - oznajmił Marc, stanąwszy w drzwiach.

Powinnam była przewidzieć, że się tu zjawi, pomyślała z rozpaczą,

- Mógłbyś się wreszcie zdecydować - zaatakowała z furią.  
- Wczoraj mówiłeś, że przekażesz całą kolekcję jakiemuś państwowemu muzeum, a teraz...

- Co takiego? - wykrztusił Pierce, blednąc natychmiast.

- Tylko w przypadku, gdy nie dotrzymasz warunków, jakie postawiłem - odparł z uśmiechem Marc.

- Wiesz doskonale, że...

- Och, w takim razie wszystko w porządku - przerwał jej Pierce, siadając wygodniej w swym fotelu. - Już myślałem, że dostanę zawału serca, stojąc przed kamerą.

- Kamerą? - powtórzyła, pewna, iż się przesłyszała. - Będzie tu telewizja?

- Nie powinienem o tym wspominać - mruknął, starannie unikając jej wzroku. - I pewnie bym tego nie zrobił, gdybyś mnie tak nie zaskoczyła tą wiadomością o przekazaniu kolekcji innemu muzeum - dodał oskarżycielskim tonem.

- A czy w ogóle zamierzałeś pisać choć słówko na ten temat? - oburzyła się. - Pierce, zastanów się, przecież skoro mam odpowiadać za wizerunek muzeum, powinnam wiedzieć o wszystkim, co tego dotyczy!

- Czy moglibyśmy porozmawiać o tym później? - zapytał, zerkając wymownie na Marcusa.

- Nie. Mieliśmy się naradzić, jak przeprowadzić kampanię reklamową, nie zdażyłam nawet opracować szczegółów, a ty już umówiłeś się z ekipą telewizyjną! Co ty sobie w ogóle wyobrażasz?

- Byłaś ostatnio bardzo zajęta - tłumaczył się. - Poza tym to sprawa najwyższej wagi, więc sam zawiadomiłem media.

- Co jest tak szalenie ważne, że nawet nie zdążyłeś do mnie zatelefonować? - zapytała ostro.

- Wolałbym o tym teraz nie mówić - powtórzył Pierce szeptem, ponownie rzucając ukradkowe spojrzenie na Marcusa, który właśnie sadowił się na brzegu biurka.

- Och, panie Reynolds - zachnął się tamten. - Przecież wiem, że chodzi o mojego Evansa Jacksona. Nie sądzi pan, że to trochę nieładnie z pańskiej strony, że nie skontaktował się pan ze mną w tej sprawie?

Pierce wbił wzrok w podłogę.

- Wczoraj wieczorem dowiedziałem się, że Evans Jackson ma być dziś w Chicago - wyznał wreszcie.

Susannah aż wstrzymała oddech z wrażenia. Faktycznie, przedstawienie artysty oraz jego obrazu, który znalazł się w zbiorach Dearborn Museum, stanowiło doskonałą okazję nadania sprawie rozgłosu. Miała wprawdzie za złe Pierce'owi, iż nie skontaktował się z nią, wiedziała jednak, że na jego miejscu postąpiłaby podobnie. I tak jak on, nie miałaby ochoty angażować w to Marcusa, którego opinia na temat owego płótna nie nadawała się do powtórzenia artyście.

- Poza tym nie chciałem ci przeszkadzać wczoraj wieczorem, na wypadek gdybyś była czymś bardzo zajęta - dodał Pierce, patrząc na nią wymownie.

Tym jednym zdaniem unicestwił wszelkie ludzkie uczucia, jakie do niego żywiła. Jak on mógł być taki gruboskórny? Kątem oka zerknęła na Marcusa, który z trudnością powstrzymywał wybuch śmiechu.

- Ponieważ ekipa telewizyjna ma się tu zjawić dopiero za

jakiś czas, mogę teraz poświęcić panu chwilkę - Pierce zwrócił się do Herringtona. - Nie chciałbym kazać panu czekać...

- Nie ma problemu, nigdzie mi się nie spieszy - odparł Marc nonszalancko. - Poza tym ekipa zjawi się tu całkiem niedługo, skoro wspominał pan coś o ataku serca przed kamerami telewizyjnymi...

Pierce westchnął nieznacznie, zaś Susannah miała ochotę roześmiać się w głos.

- Poza tym z radością poznam osobiście Evansa Jacksona i wysłucham jego objaśnienia, co miał na myśli, malując ten obraz - dokończył.

- Ale nie zdaje pan sobie chyba sprawy z konsekwencji, jakie może pociągnąć za sobą ujawnienie pańskiego nazwiska jako darczyńcy - odparł Pierce z przestachem.

- Już mu o tym mówiłam, ale nie chciał słuchać. Może jednak, kiedy powiesz, że chcesz, aby jego nazwisko zostało wymienione, wycofa się, tak z przekory - zasugerowała.

- Ależ, kochanie, należy wykorzystać nadarzącą się okazję - argumentował Marc. - Niech się zastanowię... Co takiego mógłbym powiedzieć przed kamerami, żeby Dearborn Museum zyskało prawdziwy rozgłos?

Susannah czuła się wykończona, gdy kilka godzin później dotarła ponownie do Tryad. Gdy ustąpiło napięcie, jakie nagromadziło się w niej podczas wizyty w muzeum, poczuła niewymowną ulgę, ale także zmęczenie. Była wdzięczna Marcusowi, że nie wyskoczył z niczym szokującym, zastanawiały ją raczej pobudki, dla których tego nie uczynił. Oczywiście nie omieszkał oznajmić Evansowi Jacksonowi niesłychanie poważnym tonem, iż jest szalenie dumny, będąc byłym właścicielem jego obrazu,

ale artysta nie wychwycił ironicznego podtekstu i z ogromnym przekonaniem przedstawił samego siebie jako następcę Picassa. Miała ochotę zatkać uszy, aby nie słyszeć nieuchronnego zjadliwego komentarza, jaki za chwilę padnie z ust Herringtona, tymczasem, ku jej wielkiemu zdumieniu, nic takiego nie miało miejsca. Marc spojrział na nią z promiennym uśmiechem, jak gdyby jakimś cudem posłyszał jej nieme błaganie.

Mimo to nie odważyła się opuścić muzeum, dopóki ekipa telewizyjna nie zapakowała sprzętu i nie odjechała. Wprawdzie nie byłaby w stanie zapobiec ewentualnej katastrofie, ale mogłaby przynajmniej bezzwłocznie zacząć naprawianie szkód.

Do spotkania z Amosem Richardsem pozostały niespełna dwie godziny, dlatego postanowiła nie marnować czasu na szukanie miejsca do zaparkowania, tylko pozostawiła samochód przy hydrancie, znajdującym się na wprost wejścia do Tryad, po czym udała się bezpośrednio do niewielkiej kuchenki, gdzie Kit niecierpliwie grzebała w lodówce.

- Dałabym sobie rękę uciąć, że wczoraj zostawiłam tu colę - mruknęła, zauważywszy kątem oka Susannah. - Co tu robi ta sterta jedzenia? Wieprzowina w sosie słodko-kwaśnym, jaja herbaciane, złoty kwiat mięsny, makaron po kantonsku... Czyżbyśmy reprezentowały jakąś chińską restaurację? A może ambasadora Chin?

- Nie - westchnęła Susannah. - To tylko resztki jedzenia.

Nie miała najmniejszego zamiaru przyznać się, że poprzedniego wieczora siedziała jak otepiąta nad filiżanką kawy, aż z zamyślenia wyrwał ją dzwonek do drzwi. Z tego wszystkiego zapomniała odwołać zamówienie, więc, chcąc nie chcąc, zmuszona była zapłacić za całą torbę chińszczyzny, na którą zupełnie straciła w tym momencie apetyt.

- Resztki? - Kit spojrzała na nią ze zdumieniem. - Jeśli to są resztki, to bardzo chciałabym zobaczyć, jak wyglądało przyjęcie, które mnie ominęło.

- Nie martw się, tak naprawdę nic nie straciłaś - zapewniła ją Susannah, po czym wyszła z kuchni, udając, iż nie dostrzega badawczego spojrzenia przyjaciółki.

Żałowała, że nie zostało jej ani trochę czasu, by przejrzeć po raz kolejny materiały, jakie przygotowała, aby przedstawić Amosowi Richardsowi. Zdawała sobie jednak sprawę, iż musi już wyjeżdżać, jeśli nie chce utknąć w korku i spóźnić się na tak ważne spotkanie. Dlatego wsunęła do torby teczkę z dokumentami oraz pudełko makaronu po kantońsku, które przyniosła sobie z kuchni. Była już nieco przyzwyczajona do jedzenia lunchu, stojąc na skrzyżowaniach i czekając na zmianę świateł.

Gdy wyszła z Tryad, ujrzała Marcusa wysiadającego z cadillaca, zaparkowanego tuż obok jej auta.

- Za coś takiego można dostać mandat - pouczył ją, wskazując dłonią na zastawiony przez nią hydrant.

- Nie wszyscy mają takie szczęście, że znajdują miejsce do parkowania, gdy tylko zdecydują się zatrzymać - odparła, po czym spostrzegła pudełko czekoladek, jakie trzymał pod pachą. - A to dla mnie? Cieszę się, że ruszyło cię sumienie, nie wiem tylko, czy w kwestii dzisiejszego przedpołudnia, czy może wczorajszego wieczoru, kiedy zostawiłeś mnie z całą masą chińszczyzny. Zresztą, cokolwiek by to było, i tak należą mi się przeprosiny.

- Przykro mi, ale te czekoladki nie są dla ciebie, tylko dla waszej sąsiadki, za to, że naraziliśmy ją wczoraj na nie lada wstrząs. Problem w tym, że nie pamiętam jej nazwiska. Miałem wczoraj co innego na głowie - dodał po chwili, spoglądając na nią sugestywnie.

- Przyniosłeś czekoladki dla pani Holcomb? - powtórzyła z niedowierzaniem. - W takim razie możesz sam je sobie zjeść, bo nie ma mowy, żeby wpuściła cię za próg. Nie pozwala wejść nawet pracownikom gazowni, którzy odczytują liczniki, więc tym bardziej nie wpuści nieznajomego przystojniaka z pudełkiem czekoladek.

- Miło mi, że uważasz mnie za przystojniaka. - Uśmiechnął się.

- Pewnie zadzwoni na policję i powie, że próbujesz ją otruć po tym, co widziała wczoraj - zasugerowała, starając się zignorować jego uwagę.

- Czyżby brak zaufania był zaraźliwy? - mruknął, pocierając palcami brodę. - A ja, naiwny, sądziłem, że zaczęłaś mi wreszcie wierzyć.

Czyżby wyczytał to z jej twarzy tego dnia w muzeum? Nie możliwe, przecież tak naprawdę wcale mu nie ufała, po prostu poczuła ulgę, że nie zachował się skandalicznie, ot co. Ale prawdą było, że rozluźniła się, widząc jego promienny uśmiech, a miało to miejsce, zanim udowodnił, że nie zamierza wystawić Evansa Jacksona, a wraz z nim Dearborn Museum, na pośmiewisko w obecności kamer telewizyjnych.

- Nie jestem taki straszny, jak by ci się mogło wydawać - powiedział miękko, gładząc ją delikatnie po policzku.

- Mam ważne spotkanie - wykrztusiła z trudem, czując, jak nogi odmawiają jej posłuszeństwa pod wpływem tego subtelного dotyku.

- W takim razie do zobaczenia później - odparł, po czym ruszył w stronę mieszkania pani Holcomb, pogwizdując cicho.

Manewrowała ostrożnie swym niewielkim samochodem, tak aby wyjeżdżając, nie uszkodzić cadillaca Marcusa. Zerknęła na

schodki przed drzwiami sąsiadki. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Starsza pani stała na werandzie, uśmiechnięta od ucha do ucha, rozmawiając o czymś z Marcusem. Jakim cudem zdołał ją nakłonić, by w ogóle otworzyła drzwi? Była tak zdumiona, że na śmierć zapomniała o stojącym obok cadillacu, do rzeczywistości przywołał ją dopiero odgłos lekkiego uderzenia. Marc najwyraźniej również go usłyszał, gdyż odwrócił się i żartobliwie pogroził jej palcem.

Jadąc do siedziby Universal Dynamics, zapomniała zupełnie o leżącym na siedzeniu obok pudełku makaronu, tak bowiem pochłonięta była rozważaniem, czy faktycznie zaczęła ufać Marcusowi. Nie miała ku temu najmniejszego powodu, ale choć wiecznie ją zawstydział, irytował czy prowokował, nie robił jej swym zachowaniem najmniejszej krzywdy. Może więc smutek, jaki poprzedniego wieczoru ogarnął ją po jego odejściu, spowodowany był po prostu tym, iż nie chciała, aby sobie poszedł? Cóż, kiedyś naprawdę go lubiła... Może nawet kochała? Nie, była wtedy zbyt niedojrzała i naiwna, a poza tym weszła w okres buntu przeciwko rodzicom.

Zastanawiała się, czy aby nie skorzystać z najbliższej okazji i powiedzieć mu, co tak naprawdę zdarzyło się przed ośmiu laty, po chwili doszła jednak do wniosku, że nic by to nie dało.

Dziesięć minut przed umówionym spotkaniem zajechała na ogromny parking, znajdujący się przed siedzibą Universal Dynamics, zaś resztę czasu spędziła, wędrując długimi korytarzami w kierunku gabinetu Amosa Richardsa. Sympatyczna sekretarka wprowadziła ją do gustownie urządzonego pomieszczenia, gdzie za biurkiem siedział mężczyzna, którego widziała owego pechowego dnia w Tryad.

- Miło mi wreszcie panią poznać. - Powitał ją uściskiem ręki. - Przynies nam, proszę, kawy, Liso.

Susannah usiadła w wygodnym fotelu, kładąc na kolanach teczkę z materiałami.

- Chciałabym skorzystać ze sposobności i przeprosić pana za mój wybuch - powiedziała, walcząc z drżeniem głosu.

Miała ochotę zapytać, co go do niej sprowadziło, ponieważ tak wysoko postawieni urzędnicy w dużych firmach nie mieli w zwyczaju odwiedzać swych potencjalnych współpracowników. Czyżby chciał osobiście sprawdzić, jak prezentuje się siedziba ich firmy i na tej podstawie wyciągnąć wnioski o jej kondycji?

Sekretarka przyniosła kawę, a gdy ponownie zostali sami, Amos Richards zaczął rozmawiać z nią o pogodzie, potem o jej opinii na temat ostatnich wydarzeń kulturalnych w Chicago. O co mu chodzi, zastanawiała się gorączkowo. Czyżby chciał ją upokorzyć za to, jak potraktowała go wtedy w Tryad? Najwyraźniej nie zamierzał przejść do rzeczy, zaprosił ją, by się podroczyć i wziąć odwet.

- Jeśli chodzi o balet - brnęła, doszedłszy do wniosku, iż nie ma już nic do stracenia - to muszę powiedzieć, że urzekła mnie reklama sponsorowanego przez państwa przedstawienia. Uważam jednak, że zamieszczono ją w nieodpowiedniej publikacji.

- Jak to? - zapytał, przyglądając się jej badawczo.

- Chodzi mi o to, że czytelnicy tego magazynu interesują się sztuką, więc z pewnością wiedzieli już od dawna o tym przedstawieniu, dlatego też należałoby skierować tę reklamę do szerszego grona, czytającego czasopisma o zdecydowanie bardziej obszernym polu *tematycznym*.

- Interesujące - mruknął Amos Richards, zerkając ukradkiem na zegarek.



Zamknęła na moment oczy. Pewna była, iż zaraz usłyszy, że rozmowa dobiegła końca, gdy nagle zabrzączał interkom. Richards podniósł słuchawkę, a to, czego się dowiedział, sprawiło, iż jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- Pan dyrektor już tu idzie - oznajmił.

Susannah poczuła niewysłowioną ulgę. A więc czekali na dyrektora, który osobiście miał z nią porozmawiać. Czyli istniała dla niej jakaś nadzieja.

Drzwi, znajdujące się za jej plecami, otwały się.

- Przepraszam za spóźnienie, Amos - odezwał się nieco zdyszany głos.

Wstrzymała na chwilę oddech, po czym odwróciła się powoli, by przyjrzeć się dyrektorowi Universal Dynamics.

- Zatrzymało mnie pudełko czekoladek - wyjaśnił Marc.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Przez moment Susannah miała nadzieję, że to tylko koszmar-ny sen, z którego za chwilę się obudzi. Patrzyła z niedowierzaniem na Marcusa, który ani odrobinę nie zmienił się, odkąd widziała go po raz ostatni przed niespełną godziną, a mimo to wyglądał całkowicie inaczej. Wciąż miał na sobie te same spłowiełe dżinsy i bawełnianą koszulkę, lecz wyraźna aura pewności siebie, właściwa ludziom na kierowniczych stanowiskach, sprawiała, iż Susannah nie mogła mieć wątpliwości, że Marc jest tym, na kogo czekał Amos Richards. Dyrektorem Universal Dynamics. Niewątpliwie naśmiewał się z niej w duchu, gdy zakładała, iż wciąż pracuje jako spawacz. I ta jego uwaga o telewizyjnym serialu „Arcydzieła”... Przecież Universal Dynamics od ponad dwóch lat był głównym sponsorem tego serialu! Dlaczego nie wyprowadził jej z błędu? Zapewne dlatego, że miał w tym jakiś ukryty cel, pomyślała ponuro.

- Pani pozwoli, że jej przedstawię... - zaczął Amos Richards.

- Ale z ciebie snob, Marcusie Herringtonie! - warknęła w tym samym czasie.

- Ja? - zdumiał się. - To niezwykle oskarżenie, zwłaszcza że pada właśnie z twoich ust. Ale ja nigdy nie twierdziłem, że jestem lepszy od innych.

- Czyżby? To dlaczego udawałeś kompletnego ignoranta,

jeśli nie chciałeś w ten sposób pokazać, że w gruncie rzeczy jesteś kimś lepszym? Przewróciłeś pojęcie snobizmu do góry nogami, ale to nie zmienia postaci rzeczy, że udawałeś kogoś, kim w rzeczywistości nie jesteś. I ta opinia na temat Evansa Jacksona...

- O, przepraszam, wcale nie udawałem, naprawdę uważam go za oszusta - sprostował.

- I ty chciałeś, żebym ci zaufała! - prychnęła.

- Cóż, byłoby miło, skoro zamierzam powierzyć ci kwestię wizerunku mojej firmy.

Jak on mógł w takiej chwili nadal z niej żartować?! Niemal bezmyślnie podniosła leżącą na fotelu torebkę, wraz z nią teczkę z materiałami i ruszyła do wyjścia. Z trudem opanowała wybuch histerycznego śmiechu na widok wyrazu twarzy oniemiałego ze zdumienia Amosa Richardsa.

Stała już przy samochodzie, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczyków, gdy dogonił ją Marc.

- Susannah, czy nie moglibyśmy przynajmniej porozmawiać o tym, co się stało? - poprosił.

- Nie ma o czym - burknęła. - Oszukałeś mnie. I pomyśleć, że chciałam ci powiedzieć... - Urwała nagle.

- O czym? - zapytał miękko.

- O, nie, nie dam się znów nabrać - odparła stanowczo, otwierając drzwi auta.

Przytrzymał je ręką, tak że nie mogła wejść.

- Co się stało z dzieckiem, Susannah?

Podniosła wzrok ku niebu, po czym wzruszyła obojętnie ramionami.

- I tak byś mi nie uwierzył, gdybym powiedziała, że w ogóle nie byłam w ciąży, więc...

- Byłoby to kompletnie niezrozumiałe, gdybyś oznajmiła, że spodziewasz się dziecka, nie będąc w ogóle w ciąży - zauważył logicznie. - Zwłaszcza że nigdy się nie kochaliśmy, więc w żaden sposób nie mógłbym być jego ojcem.

- Święte słowa - zadrwiła. - Jak mogłam przeoczyć tak ważny szczegół?

- Gdybyśmy choć raz poszli do łóżka, wtedy łatwo dałbym sobie wmówić, że nosisz moje dziecko.

- Mimo wszystko dobrze się stało, bo utknęłabym u twego boku do końca życia - odparowała. - A teraz pozwól, że pojedę do biura. Mam naprawdę mnóstwo pracy.

Jednak zamiast do Tryad, pojechała do domu, podejrzewała bowiem, że Kit oraz Alison będą tam na nią czekały, aby usłyszeć, jak jej poszło spotkanie z Amosem Richardsem, a nie miała pojęcia, co im powiedzieć. Potrzebowała trochę czasu, by pogodzić się z faktem, iż Marc Herrington, niegdyś zwykły spawacz, kierował teraz jedną z największych i znanych ze swej hojności firm na świecie.

Oczywiście nigdy nie wątpiła w jego inteligencję czy pracowitość, ale tak wielki awans wymagał czegoś więcej, zdolności ukrywania własnych opinii, podporządkowywania się innym. Tymczasem Marc wydawał jej się mężczyzną bardzo niezależnym, więc uważała ten awans za wysoce zagadkowy.

Chcąc uwolnić się od myśli na jego temat, zajęła się sprzątaniem mieszkania, w którym panował spory bałagan, jako że ostatnimi czasy była zbyt zabiegana, aby zrobić porządek. Skończyła właśnie myć nagromadzone w zlewie brudne naczynia, gdy zadzwieczał dzwonek. Dopiero w przedpokoju dotarło do

niej, kto to może być. Zatrzymała się w pół kroku, zdecydowana udawać, że jej nie ma.

- Otwórz, Susannah, przecież wiem, że tam jesteś — domagał się Marc. - Będę dobijał się tak długo, aż otworzysz, albo sąsiedzi zadzwonią ze skargą do spółdzielni.

- Gdybym wiedziała, że się tu zjawisz, zabarykadowałabym się- odparła, uchyliwszy nieco drzwi, z czego natychmiast skorzystał, wsuwając nogę w powstałą w ten sposób szparę.

- I tak znalazłbym sposób, żeby się do ciebie dostać - powiedział pogodnie. - Bądź co bądź, szkoda, żeby się pizza zmarnowała, jest jeszcze gorąca.

Dopiero wtedy poczuła, że z utrzymanego przezeń płaskiego pudełka roztaczał się smakowity zapach, drażniąc jej pusty żołądek. Postanowiła jednak, że woli jeść samotnie suchy chleb niż pizzę w jego towarzystwie.

- Dziękuję, ale nie mam ochoty na pizzę - stwierdziła stanowczo. - Czy mógłbyś zabrać nogę?

- Dlaczego aż tak bardzo ci to przeszkadza? - zapytał, poważniejąc nagle.

- Wcale mi nie przeszkadza.

- Akurat, gdyby tak nie było, nie wiedziałabyś nawet, o czym mówię - zauważył.

- A co niby mógłbyś mieć na myśli, jak nie swój sukces? - Wzruszyła ramionami. - Przyznaję, że chciałabym wiedzieć, jak to się stało.

- Opowiem ci przy stole - obiecał.

Chcąc nie chcąc, cofnęła się i gestem zaprosiła go do środka.

- Czemu zawdzięczasz swoją pozycję? Znajomościom? Szantażowi? A może to Cyrus szepnął słówko komu trzeba i załatwił ci tak wysokie stanowisko? Nie jesteś osobą, która cier-

pliwie pięta się po szczeblach drabiny społecznej, do ciebie pasuje raczej skok z trampoliny.

- Trafiłaś w dziesiątkę - pochwalił. - Wspominałaś, że masz spotkanie z ważnym klientem, więc sądziłem, że przygotowując się do niego, dowiesz się, jakie zajmuję stanowisko w Universal Dynamics - tłumaczył się. - Masz rację, powinienem był cię o tym uprzedzić, zanim przekroczyłaś próg gabinetu Amosa.

- Jeśli czujesz się winny, to powinienes być przynieść pudełko czekoladek - mruknęła pod nosem.

- O nie, nie dostaniesz deseru, póki nie zjesz kolacji - zapowiedział z uśmiechem. - Gdzie są talerze? - zapytał, rozglądając się po jej skromnie urządzonej mieszkanke.

Przygotowywała się w myślach na odparcie jakiejś krytycznej uwagi na temat wystroju wnętrza jej niewielkiego salonu, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Widzę, że jednak nabrałeś trochę ogłady przez te osiem lat - stwierdziła drwiąco. - Kiedyś nawet nie przyszłoby ci do głowy, że do pizzy potrzeba talerzy.

- Wiesz, zwykle nie przejmuję się takimi detalami, ale skoro to nie mój dywan i nie moje meble, to pomyślałem, że powinienem być kulturalny - odparł z rozbawieniem.

Położył pudełko na stole w kuchni, po czym odkroił wciąż parujący kawałek pizzy i położył go na podanym przez Sussannah talerzu, który podsunął w jej kierunku.

- Tylko nie mów, że nie jesteś głodna - zaprotestował, gdy pokręciła głową. - Tak samo jak ja nie miałaś czasu na lunch, a choć u pani Holcomb najadłem się cynamonowych bułeczek, to teraz burczy mi niemiłosiernie w brzuchu.

- To ona piecze bułeczki cynamonowe? - zapytała ze zdumieniem.

- Owszem i to w rekordowym czasie - stwierdził, po czym sięgnął po drugi talerz. - Nie rób z siebie męczennicy, tylko jedz pizzę póki gorąca.

Chcąc, nie chcąc, usiadła przy kuchennym stole, bawiąc się strzępami żółtego sera, zwisającymi z jej talerza.

- Miałeś mi powiedzieć, jakim cudem zostałeś dyrektorem Universal Dynamics - przypomniała. - Szantażem?

- Widzę, że nie wierzysz w moje możliwości.

- Żebyś wiedział - prychnęła. - Owszem, wyobrażałam sobie ciebie jako mistrza czy brygadzystę, ale dyrektora? Nigdy w życiu. Ten, kto cię nim mianował, musi mieć chyba nie po kolei w głowie.

- Nie ty pierwsza to podejrzewasz - przyznał, sięgając po drugi kawałek pizzy. - Mnie też czasem się wydaje, że powinienem dać się przebadać.

- Co takiego? - Zmarszczyła brwi. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że sam siebie powołałeś...

- Zapewniam cię, że wcale nie chciałem być dyrektorem. Nigdy nie lubiłem papierkowej roboty, wolę coś projektować, a potem w warsztacie sprawdzać, czy działa zgodnie z moimi przewidywaniami. Zresztą tak się to właśnie zaczęło.

- Universal Dynamics? - upewniła się.

- Tak. - Skinął głową. - Parę miesięcy po pamiętnym Święcie Dziękczynienia zostałem zwolniony z pracy. Właściwie nie było to definitywne zwolnienie, bo obiecano mi, że gdy tylko popyt na maszyny rolnicze ponownie wzrośnie, będę mógł wrócić, ale potrwało to dobrych kilka miesięcy, podczas których miałem wiele czasu na myślenie. Zastanawiałem się wtedy, co się dzieje ze wszystkimi odpadkami produkcyjnymi, wiesz, kawałkami blachy, plastiku czy drutu.

- Nie widzę w tym nic nowatorskiego, przecież od dawna skupuje się złom - zauważyła.

- Tak, ale zwykle odpadki się przetapia, co również niesie ze sobą koszty i zużycie energii, ja natomiast chciałem znaleźć dla nich zastosowanie bez konieczności ponownej obróbki. Wtedy okazało się, że jeden z odpadków ma odpowiednią wielkość, gęstość i skład chemiczny jak izolatory, stosowane we wszelkiego rodzaju elektrycznym sprzęcie domowym, jak suszarki do włosów czy żelazka. Wystarczyło go po prostu wygiąć pod odpowiednim kątem, co wprawdzie nie jest takie proste, ale udało mi się skonstruować odpowiednią maszynę. Kupiłem od fabryki odpadki i po wygięciu sprzedawałem je za sto razy tyle, ile za nie zapłaciłem.

- Niesamowite - szepnęła zafascynowana.

- Tak się to zaczęło. Teraz oczywiście nie zajmujemy się tylko zmienianiem kształtu odpadków, ale sprzedajemy potrzebne do tego maszyny.

- A więc od samego początku byłeś dyrektorem Universal Dynamics?

- Owszem, a oprócz tego całą załogą, to znaczy kierowcą, księgowym i sprzątaczem - odparł ze śmiechem. - Gdybym wiedział, na jakim stanowisku wyląduję, wołałbym zostać przy spawaniu, bo teraz nie mam zbyt wiele czasu na zabawę w warsztacie.

Nie wierzyła mu nawet przez moment, bo gdyby nie lubił tego, co robi, nigdy nie odniósłby tak oszałamiającego sukcesu.

- Szukałem kogoś, kto mógłby sprawnie poprowadzić firmę, ale nikt, kto mi odpowiadał, nie chciał ze mną współpracować - wyjaśnił. - Podobno przypominam beczkę prochu.

- Nie można się z tym nie zgodzić - przyznała. - Powiedz



mi tylko, dlaczego udawałeś ubogiego krewnego? Musiałeś się wprowadzać do domu Cyrusa?

- A czemu nie? Nie mam własnego domu, więc pomyślałem, że mógłbym sprawdzić, jak to będzie, gdy zostanę właścicielem tak dużej rezydencji, na wypadek gdybym zdecydował się ją zatrzymać.

Przypomniało jej się, jak kilka tygodni przed ową pamiętną wizytą u jej rodziców Marc zwierzał jej się ze swego marzenia o posiadaniu domu na obrzeżach miasta. Na podwórku miał być pies, przed domem miała rosnąć trawa, a wzdłuż płotu miał się ciągnąć chodnik, po którym dzieci mogłyby jeździć na rowerkach.

Była na siebie zła, że nagle ogarnęło ją uczucie żalu, iż Marc nie spełnił tego akurat marzenia. Współczucie dla milionera było przecież całkowitym marnowaniem czasu, bo dysponując takim majątkiem, mógł zrealizować praktycznie każde swe marzenie.

- A więc masz już psa i dom - stwierdziła chłodno. - Co do chodnika, to zupełnie go nie potrzebujesz, bo w siedzibie Universal Dynamics są kilometry korytarzy, po których dzieci mogłyby jeździć na rowerkach.

- Doskonały pomysł - pochwalił. - Muszę opowiedzieć o nim Amosowi, na pewno będzie zachwycony. Właśnie, a propos Amosa, to powinnaś się z nim ponownie skontaktować.

- A to dlaczego? - zdziwiła się.

- Ponieważ nie będzie mnie przez kilka dni, więc nie będę mógł was umówić - wyjaśnił. - Zanim wyjadę na Hawaje, chciałbym, żebyśmy przeprowadzili jutro inwentaryzację magazynu.

- Na Hawaje? - powtórzyła zaskoczona.

- Doskonale nadajesz się na echo - orzekł. - Nawet się cieszę na ten wyjazd. Sądziłem, że załatwiłem wszystko przed przyjazdem na pogrzeb Cyrusa, ale okazało się, że muszę ustalić wszystko od nowa.

Czy adwokat Cyrusa nie mówił, że Marc był tam na wakacjach, których nie chciał skrócić nawet ze względu na pogrzeb? A może Joe Brewster tak naprawdę powiedział coś innego, tylko Pierce zinterpretował to w ten sposób? Bądź co bądź, nie był przyjaźnie nastawiony do spadkobiercy zmarłego milionera.

- Pewnie nie można trzymać tu psów? - zapytał, rozglądając się dokoła.

- A po co mi pies?

- Zastanawiałem się, co zrobić z O'Learym podczas mojej nieobecności - wyjaśnił.

- Poproś kogoś ze służby Cyrusa, żeby się nim zajął - poradziła.

- To będzie dość trudne - westchnął. - Widzisz, nie zgodziliśmy się, co do tego, co jest stosowne, a co nie. Można by powiedzieć, że mieli podobne opinie jak twoi rodzice. A właśnie, jeszcze mi nie powiedziałaś, co się u nich dzieje. Byłem u ciebie w sobotę, ale cię nie zastałem. Sąsiadka mówiła, że pojechałaś do matki.

- Jak widzę, moi sąsiedzi są wyjątkowo dobrze poinformowani - mruknęła z niezadowoleniem.

- Przypuszczała, że wybrałyście się po zakupy.

Zerknęła na niego kątem oka, ale ani w jego głosie, ani w wyrazie twarzy nie mogła się doszukać najmniejszego śladu drwiny.

- Jeśli chodzi o ścisłość, planowałyśmy przyjęcie - sprostowała.

- Jasne, jak mogłem zapomnieć, że Millerowie z Northbrook muszą dbać o podtrzymanie swej pozycji w towarzystwie.

Gdyby tylko mógł wiedzieć, jak niedorzeczna była jego uwaga. Oczywiście nie miała zamiaru mu tego tłumaczyć, prawdopodobnie uśmiełby się do łez, a tego by nie zniosła.

Następnego ranka zjawiła się w pracy wyjątkowo wcześnie, toteż była niepomiernie zdumiona, przekonawszy się, iż drzwi Tryad są otwarte. W recepcji ujrzała Kit, która przysiadła na biurku Rity, oraz Alison, przeglądającą adresowaną do niej korespondencję.

- Co wy tu robicie o tak barbarzyńskiej porze? - zapytała, choć wiedziała, że gdyby któraś z jej przyjaciółek poprzedniego dnia umówiona była na ważne spotkanie, ona sama następnego ranka czekałaby na schodach.

- Omawiamy nasze kłopoty żołądkowe - odparła Kit szalenie poważnym tonem.

- Boli cię żołądek i pijesz kawę? - oburzyła się Susannah, zajrzawszy do trzymanego przez nią kubka.

- Powiedziałam jej dokładnie to samo - mruknęła Alison.

- Kawa nigdy mi nie szkodziła. - Kit machnęła lekceważąco ręką. - Myślę, że to ta chińszczyzna.

- Chyba nie zjadłyście wszystkiego? - upewniła się Susannah.

- Za kogo ty nas masz? - obruszyła się tamta. - Za żarłoków?

- Poza tym ja nawet nie tknęłam tej chińszczyzny - uzupełniła Alison, odkładając na bok przejrane koperty.

Susannah musiała przyznać, iż nie wyglądała ona najlepiej. Wprawdzie jej cera zawsze przypominała alabaster, ale tego dnia była po prostu blada jak ściana.

Nie miała ochoty jeszcze bardziej zasmucać swych przyjaciółek, ale nie widziała sensu dłużej ukrywać złych wieści.

- Cóż, chciałabym poprawić wam humor, ale obawiam się, że nie jestem w stanie - westchnęła.

- A więc nie poszło ci za dobrze? - zapytała ze współczuciem Kit.

- Amos Richards był wprawdzie bardzo miły, ucieliśmy sobie interesującą pogawędkę o pogodzie, ale kiedy okazało się, że dyrektorem Universal Dynamics jest...

- Marcus Herrington - wpadła jej w słowo Alison.

- Wiedziałaś o tym i mnie nie ostrzegłaś? - Susannah posłała jej niedowierzające spojrzenie.

- Dowiedziałam się dopiero dziś o drugiej w nocy - wyjaśniła tamta. - Przypuszczałam, że ci się nie powiodło, bo gdyby było inaczej, przybiegłabyś do biura w podskokach, więc nie mogąc usnąć, zajrzałam do „Kto jest kim?” i...

- Trzymasz przy łóżku „Kto jest kim?”?! - Kit wyraźnie nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Ależ to bardzo pożyteczna i odprężająca lektura - broniła się Alison.

- A w dodatku nie ma ryzyka uzależnienia jak w przypadku pigułek nasennych - zażartowała Kit.

Alison pokazała jej język, po czym podeszła do Susannah i otoczyła ją ramieniem.

- Nie martw się, bez względu na wszystko jesteśmy z tobą - zapewniła. - Zresztą przez te trzy lata świetnie radziłyśmy sobie bez Universal Dynamics, więc i teraz jakoś damy sobie radę.

- Czym ja sobie na was zasłużyłam? - westchnęła, próbując powstrzymać łzy.

Gdy kwadrans później znalazła się na schodkach prowadzących do Tryad, zza ogrodzenia dobiegł ją nieśmiały głos:

- Proszę pani!

Odwróciwszy się, spostrzegła, że na werandzie sąsiedniego domu stoi pani Holcomb.

- Czy będzie się dziś pani widziała z tym swoim kawalerem? - zapytała staruszka.

- Nie jest mój - sprostowała - ale rzeczywiście zaraz się z nim zobaczę.

- Proszę mu to dać.

To powiedziawszy, sąsiadka podała jej ponad ogrodzeniem szczelnie opakowany przezroczystą folią talerz ciepłych jeszcze ciasteczek. Gdy tylko Susannah wzięła go w rękę, dłoń starszej pani gwałtownie się cofnęła, jak gdyby z obawy przed bliższym kontaktem.

- Tego tylko brakowało - mruknęła pod nosem Susannah.

- Jak gdyby i tak nie miał o sobie doskonałej opinii.

Zanim dotarła do domu Cyrusa, jej auto pachniało cudownie świeżymi ciasteczkami orzechowymi, tak że z trudem trzymała rękę z dala od tego skarbu.

Drzwi otworzył jej Marc, który z zaciekawieniem przyjrzał się trzymanemu przez nią talerzowi.

- Upiekłaś dla mnie ciasteczka? - ucieszył się. - Muszę przyznać, że tym razem przebiłaś stawkę. A więc, za co chcesz mnie przeprosić?

Przez moment zastanawiała się, czy aby nie rozbić mu tego talerza na głowie, ale wreszcie rozmyśliła się.

- Przykro mi, ale nie ja je piekłam, tylko pani Holcomb - wyjaśniła. - Musiałeś wyrzucić na niej doskonałe wrażenie.

- Jestem zaszczycony - odparł, sięgając pod folię po apety-

cznie pachnące ciastko. O'Leary wpatrzył się w niego błagalnym wzrokiem. - Wiesz, Susannah, dużo ostatnio myślałem...

- Na twoim miejscu natychmiast bym przestała - przerwała mu. - To może być niebezpieczne.

- Chyba rzeczywiście nie zamierzasz pójść ze mną do łóżka, żebym zgodził się przekazać obrazy Dearborn Museum, prawda?

- Eureka! - zawołała kpiąco. - Czy faktycznie zajęło ci to aż tak dużo czasu, żeby się domyślić?

- Proponuję więc, żebyśmy podnieśli stawkę - ciągnął, ignorując jej uwagę.

- Na jaką? Przypominam, że propozycję współpracy z Universal Dynamics już raz odrzuciłam.

- Nie, wolałbym nie mieszać pracy z przyjemnością. Przyszło mi do głowy, że może powinienem poprosić cię o rękę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Susannah miała wrażenie, że świat wokół niej wiruje w zawrotnym tempie, zaś w głowie kołatało jej tylko jedno krótkie pytanie.

- Dlaczego?

- Wyglądasz na przerażoną - zauważył Marc.

Ciekawe dlaczego, pomyślała z przekąsem. Tymczasem on zdawał się być dużo bardziej zainteresowany jej reakcją niż odpowiedzią na postawione przed chwilą pytanie. Oczywiście, nie było to prawdziwe pytanie, stwierdził tylko, że może powinien się z nią ożenić. W jego głosie nie słychać było przekonania ani też nie wyglądał na kogoś, kto z radością zdecydował się na tak istotną zmianę w swym życiu. Przywiodło jej to na myśl dawnego Marcusa, który przed ośmiu laty powiedział coś łudząco podobnego.

- To dlatego, że jestem przerażona - odparła, zmuszając się do uśmiechu. - Skąd ci przyszedł do głowy ten upiorny pomysł?

Odstawiwszy talerz z ciastkami na poręcz werandy, oparł się o drzwi, składając ręce na piersi.

- Pomyślałem, że teraz, kiedy moja firma jest w doskonałej kondycji, następnym logicznym krokiem byłoby wyrobienie sobie dobrej pozycji w towarzystwie, a jak zrobić to lepiej niż ożenić się z Millerówną z Northbrook? Widziałem, z jakim szacunkiem zwracały się do ciebie te paniusie na wernisażu.

Nie miała ochoty udowadniać mu, że jeśli cieszy się poważaniem wśród rady nadzorczej Dearborn Museum, to nie z powodu jej pochodzenia, ale osiągnięć zawodowych.

- Nie wątpię, że miałyby to duże korzyści dla ciebie, ale co ja bym na tym zyskała? - zapytała chłodnym, wyważonym głosem.

- Doskonałe pytanie - pochwalił. - Widać, że masz głowę na karku, zupełnie jak twoja mamusia. Oczywiście istnieje kwestia korzyści finansowych, ale jeśli nie wydaje ci się dostatecznie kusząca, to może zrobiłabyś to dla przyjemności?

- Dla przyjemności? - powtórzyła, starając się włożyć w to tyle ironii, ile potrafiła. - Gdybym rozumowała w ten sposób, to... - Urwała, ale było już za późno, gdyż w jego oczach zapaliły się ogniki.

- Nie odmówiłabyś pójścia ze mną do łóżka? Ciekawe, będę musiał poważniej się nad tym zastanowić. Jedziemy moim czy twoim samochodem? - dodał, zmieniając nagle temat.

- Moim, jest już na ulicy - zaproponowała.

Zagwizdał na psa, który w międzyczasie dał sobie spokój z żebraniem o ciastka, a teraz obwąchiwał starannie ogrodzenie. Natychmiast zareagował i jednym susem znalazł się na werandzie. Gdy poczuł smakowity zapach, zainteresował się zapomnianym przez nich talerzem, stojącym na poręczy. Marc puścił drzwi i rzucił się na ratunek, ale spóźnił się o ułamek sekundy. Susannah też próbowała, ale jej również nie udało się pochwycić talerza, który z brzękiem rozbił się na kamiennej posadzce. O'Leary z entuzjazmem rzucił się na smakołyki, połykając je w całości.

- I to mają być dobre psie maniery. - Pokiwała głową z politowaniem. - Co my teraz zrobimy? Pani Holcomb wresz-



cie zaczęła wychodzić ze swej kryjówki, a my stłukliśmy jej talerz.

- Nie rób takiej niewinnej miny - zwrócił się do psa Marc.  
- Masz okruciny na wąsach. A już miałem nadzieję, że przekonam Susannah, żeby zaopiekowała się tobą pod moją nieobecność. Teraz pogrzebałeś swoje szanse, niechybnie powędrujesz do psiego schroniska.

O'Leary przeniósł na nią błagalne spojrzenie, nie przestając uderzać ogonem o posadzkę. Niemożliwe, żeby rozumiał, o czym mówimy, pomyślała, ale nie miała ochoty więcej patrzeć na jego żałosny wyraz pyska, więc schyliła się, by pozbierać skorupy. Okazało się, że nie brakowało ani jednego elementu, więc od biedy można by spróbować je posklejać. Teraz widać było wyraźnie, iż talerz był zdobiony ręcznie nieco nierównym ornamentem z żonkili. Niewątpliwie była to jakaś pamiątka i panią Holcomb zapewne zasmuci ta strata.

Marc bez słowa zniknął w domu, a gdy za chwilę powrócił, w rękę trzymał papierową torbę, do której wrzucił kawałki talerza.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - zapytała, zniecierpliwiona jego milczeniem. - Zatrzymasz na pamiątkę, czy może posklejasz, licząc, że pani Holcomb nie będzie się za bardzo przyglądała?

- Nic z tych rzeczy - odrzekł, po czym włożył torbę pod pachę i ruszył w kierunku jej samochodu. - Po powrocie poszukam czegoś podobnego na pchlim targu.

- Ależ ten talerz był ręcznie malowany, nie uda ci się znaleźć drugiego takiego - zaprotestowała.

- To chyba dobrze, sądząc po jego wyglądzie - zauważył.  
- Zresztą na pewno uda się coś dobrać.

Wciąż nie była o tym przekonana, ale gdy znaleźli się w należącem do Cyrusa magazynie, jej myśli zaprzątęła kwestia inwentaryzacji. Na szczęście było to tylko jedno pomieszczenie, choć zapchane do granic możliwości stojącymi praktycznie wszędzie obrazami. Powietrze było tam chłodne i nieco suche, tak by obrazy nie uległy zniszczeniu.

Ich przeglądanie zajęło im dobrych kilka godzin, po upływie których Susannah była zakurzona jak jeszcze nigdy dotąd, mimo iż w magazynie działały najnowocześniejsze filtry powietrza.

- Nie mam stuprocentowej pewności, ale to już chyba wszystko - oznajmił Marc, otrzepując rękę.

- Hura - mruknęła, po czym kichnęła po raz chyba setny.

- Biedactwo - powiedział, gładząc ją po policzku. - Nie zjadłaś nawet porządnego lunchu... Może masz ochotę na drinka?

- Na kawę po irlandzku - odparła, po czym przeciągnęła się.

- Mocną i gorącą.

- Świetnie. Do licha, jeśli naprawdę jest ta godzina...

Powędrowała wzrokiem za jego spojrzeniem i spostrzegła wiszący na przeciwnej ścianie stylizowany zegar.

- Jesteś pewien, że to nie nowoczesne dzieło, zatytułowane „Czas na drinka”? - zażartowała.

- Czy przyszło ci kiedyś do głowy, żeby zostać artystką?

- zapytał z niekłamanym podziwem. - Masz tyle samo talentu, co Evans Jackson, ale nieporównywalnie więcej wyobraźni.

- Sięgnął po złoty zegarek na łańcuszku, wiszący na jej szyi.

- Niestety, jest rzeczywiście szósta, więc ledwo zdążę złapać samolot.

- Czyli nici z mojej kawy? - westchnęła. - Jestem rozczarowana. Podwieźć cię na lotnisko?

- Planowałem wezwać taksówkę, ale jeśli byłabyś tak uprzejma... - Uśmiechnął się czarująco. - Muszę jeszcze wstąpić do domu, żeby wziąć walizkę i... ojej, na śmierć zapomniałem o O'Learym!

- Rozumiem - mruknęła. - Do którego schroniska mam go odwiedzić?

- Szczerze mówiąc, nie załatwiłem tego, bo nie przyszło mi do głowy, że spędzimy cały dzień w magazynie - wyznał ze skruchą. - A może mogłabyś zamieszkać na ten czas w domu Cyrusa? Chodzi nie tylko o psa, ale i o bezpieczeństwo domu.

- Po to są systemy alarmowe - przypomniała. - Ale dobrze, zajmę się tym.

- Doskonale - ucieszył się. - O'Leary nie będzie czuł się tak osamotniony, a ty będziesz mogła przejrzeć sobie katalog kolekcji.

- Co takiego? - Zatrzymała się w pół kroku. - Cyrus miał katalog, a ty dopiero teraz mi o tym mówisz?

- Znalazłem go dopiero wczoraj, bo jest oprawiony w okładkę słownika, chyba tak dla niepoznaki - usprawiedliwił się. - Ale to tylko spis, ile za co zapłacił, więc i tak musielibyśmy go uaktualnić. Czy mogę prowadzić? - zapytał, a ona bez słowa podała mu kluczyki, zaś sama usiadła na miejscu dla pasażera.

Wstąpili na moment do domu Cyrusa, a potem pomknęli obwodnicą w kierunku lotniska. Gdy znaleźli się na miejscu, Marc szybko wyjął z bagażnika swą walizkę, po czym szarmancko otworzył przed Susannah drzwi kierowcy, ale zamiast zamknąć je, gdy już usiadła, utkwiał w niej poważne spojrzenie. Pochylił się niżej, jak gdyby miał zamiar ją pocałować, na co jej serce zabiło jak szalone, wprowadzając ją tym samym w nie-

pomierne zdumienie. Przecież nie chciała, żeby ją całował. Czyż nie?

- Możesz spać w mojej piżamie - oznajmił z łobuzerskim uśmiechem.

Zanim zdążyła coś na to odpowiedzieć, odszedł szybkim krokiem w kierunku terminalu. Dopiero w wejściu odwrócił się po raz ostatni i pomachał jej, jak gdyby wiedział, iż go obserwuje.

- W jego piżamie! - mruknęła z oburzeniem. - Wątpię, czy w ogóle coś takiego posiada.

Katalog kolekcji Cyrusa okazał się być zaskakująco obszerny, więc postanowiła, iż przejrzy go dopiero wtedy, gdy przebierze się w coś czystego, zje kolację i zdecyduje, z której sypialni będzie korzystała.

O'Leary powitał ją z entuzjazmem i nie odstępował ani na krok, tak że parę razy mało się o niego nie potknęła. Oczywiście powędrował też za nią na górę do niewielkiej sypialni, którą wybrała głównie dlatego, iż była położona najdalej od tej, z której korzystał Marc. Też coś, pomyślała, przechodząc obok prowadzących tam drzwi. Miałabym używać jego piżamy!

Siedziała zwinięta na łóżku, wykapaną i przebraną w satynowy szlafrok, gdy zadzwonił telefon. Zastanawiała się, czy powinna go w ogóle odebrać, po chwili jednak podniosła słuchawkę.

- Znalazłaś piżamę? - zapytał Marc.

Bezwiednie złapała pod szyję poły szlafroka, aby zakryć dekolt.

- Gdzie jesteś?

- Nie wiem, chyba gdzieś nad Górami Skalistymi.

- Telefony w samolotach służą do celów służbowych, Marc  
- upomniała go.

- Mogę dzwonić w jakiej sprawie tylko chcę, jeśli moja karta kredytowa ma pokrycie - odparł. - Nie chcesz wiedzieć, dlaczego telefonuję?

- Pewnie żeby sprawdzić, czy rzeczywiście tu jestem - zasugerowała. - Chcesz porozmawiać z O'Learym i upewnić się, że wszystko robię tak, jak sobie życzysz?

Pies, słysząc swe imię, zamachał radośnie ogonem, ale nawet na moment nie podniósł głowy, spoczywającej na jej kolanach.

- Nie trzeba, jestem pewien, że nic mu do szczęścia nie brakuje. A tobie?

- Dziękuję, mnie również.

- Zastanawiałem się nad naszą dzisiejszą rozmową i przyszło mi do głowy, że jeśli przyjemność nie jest dla ciebie dostateczną zachętą do wyjścia za mnie, to może ten dom...

To tylko gra, to tylko gra, powtarzała sobie w duchu. Nic ponadto, lepiej, żebyś o tym nie zapomniała.

- To rzeczywiście poważny argument, ale jest tu zdecydowanie za dużo mebli, nie nadażałabym z odkurzaniem - odparła pogodnie.

- Hmm, a może zakochasz się w O'Learym? - podsunął.

- Kilka dni bezgranicznego uwielbienia i całkiem stracisz dla niego głowę.

- I wyjdę za ciebie, żeby mieć prawo do opieki nad nim? Nic z tego! Marc, proszę, przestań się wygłupiać!

- Ale dlaczego? Mnie to szalenie bawi, ciebie nie? - udawał zdziwionego. - Może w takim razie porozmawiamy o tym, dlaczego tak cię to męczy?

Zacisnęła zęby, ponieważ był to temat, o którym nie miała najmniejszego zamiaru z nim dyskutować.

- Nie porozmawiamy, bo mam mnóstwo pracy - wykręciła się. - Jeszcze nawet nie zdążyłam zajrzeć do katalogu.

- Zgoda, wrócimy do tego innym razem - odparł i odłożył słuchawkę, zanim mogła zaprotestować.

Zamyślona zeszła na dół do kuchni, by posprzątać po kolacji. W pewnym momencie zamarła, a trzymany przez nią kawałek pizzy zsunął się z talerza i spadł na podłogę, z czego nie omisszała natychmiast skorzystać O'Leary. W jednej sekundzie uświadomiła sobie, dlaczego tak bardzo męczyły ją żarty Marcusa. Prawdopodobnie już od dłuższego czasu znała odpowiedź, ale nie przyznawała się do niej nawet sama przed sobą. Przez te wszystkie lata Marc żył w jej sercu, wspomnienie czarującego, pełnego optymizmu młodego człowieka było swoistą pamiątką utraconej miłości. Zapewne tak by pozostało, gdyby nie pojawił się ów nowy, pewny siebie, a jednocześnie fascynujący Marc. Okazało się bowiem, że jako młoda niedoświadczona dziewczyna była zakochana w tamtym dawnym Marcusie, ale jako dorosła kobieta kochała tego całym swym sercem. Do ostatniej chwili nie przyznawała się do tego sama przed sobą, ale teraz nie było już sensu dłużej się oszukiwać.

- Nie chcę, żeby to była tylko zabawa - szepnęła do siebie. - Chcę, żeby mnie naprawdę pokochał.

Wtedy, przed ośmiu laty, sądziła, że szybko zdoła się pozbiierać po ciosie, jaki otrzymała, że gdzieś czeka na nią ktoś lepszy, ktoś bardziej wart miłości. Teraz zaś zdawała sobie sprawę, że nikogo doskonalszego nie spotka, bo w ogóle nie chce nikogo prócz niego.

W piątkowe popołudnie była w sklepie z antykami, usytuowanym po przeciwnej stronie ulicy, na której znajdował się magazyn Cyrusa, gdy zadzwonił jej telefon komórkowy, dokładnie w chwili, kiedy zamierzała zapłacić za ręcznie malowany talerz.

- Nareszcie. Już miałam zacząć panikować - westchnęła Alison, gdy Susannah wreszcie wydobyła telefon z torby.

- Gość ty, Ali, przecież ty nigdy nie wpadasz w panikę - zauważyła. - Nawet jako niemowlę byłaś wyjątkowo zrównoważona.

- Sue, bardzo mi przykro, ale dzwonili z domu opieki - zawiadomiła przyjaciółka drżącym głosem. - Twoja mama zachorowała na zapalenie płuc, czuje się dużo gorzej, więc chcą, żebyś *jak najprędzej pojechała*.

W ułamku sekundy mózg Susannah zaczął pracować na najwyższych obrotach, tak że natychmiast ułożyła w myślach listę, co powinna zrobić przed wyjazdem. Spokojnie, jak automat, odliczyła drobne, podała je sprzedawczyni, pojechała do domu Cyrusa, spakowała do torby rzeczy, które tam przywiozła, po czym zabrała O'Leary'ego do siedziby Tryad, gdzie czekała na nią Alison.

- Nie powinnaś w takim stanie prowadzić - martwiła się przyjaciółka. - Gdybym mogła odwołać swoje spotkanie...

- Dam sobie radę - zapewniła ją Susannah, uśmiechając się lekko na widok ich biurowego kota, który prychnął groźnie na trzęsącego się ze strachu O'Leary'ego. - To ci dopiero pies obronny. Będziesz miała z nimi pełne ręce roboty. Dziękuję ci, Ali.

Przyjaciółka uściskała ją serdecznie i odprowadziła do samochodu, prosząc raz po raz, by jechała ostrożnie.

Następne godziny na zawsze zatarły się w pamięci Susannah. Nie myślała o niczym, nie dopuszczała, by smutek pozbawił ją energii do działania. Przesiedziała tak całą noc przy łóżku matki, która raz po raz budziła się, mówiła coś, co trudno było w ogóle zrozumieć, a już tym bardziej wywnioskować, czy Elspeth Miller zdaje sobie sprawę, gdzie jest.

W oczach osób postronnych była zawsze elegancką, wyniosłą damą, która wiedziała, co jest stosowne, a co nie, i nigdy nie łamała zasad dobrego wychowania. Córka zaś знаła ją jako apodyktyczną, bezwzględną osobę, gotową uczynić wszystko, aby jedynaczka postępowała zgodnie z jej życzeniem. Nic więc dziwnego, że Susannah w końcu się zbuntowała, choć i tak nastąpiło to o wiele później, niż można się było spodziewać.

*Elspeth Miller nigdy nie była ciepłą mamą, piekącą smakowite ciasteczka. Takie matki mieli jej przyjaciele. Nigdy też nie stała się powiernicą córki i nawet gdy Susannah dorosła, nie nawiązała się między nimi nic głębokiej przyjaźni, jaka często łączy matki i córki. Mimo to, myślała Susannah, siedząc w ciemności przy jej łóżku, robiła, co mogła, aby być dobrą matką.*

Gdy do pokoju zająrzały pierwsze różowe promienie słońca, poczuła, jak jej serce wypełnia spokój i wdzięczność, ponieważ podczas tych godzin czuwania pogodziła się z matką i wybaczyła jej błędy. Uspokojona, zasnęła w fotelu.

Kiedy się obudziła, było już całkiem widno, zaś z korytarza dochodziły odgłosy porannej krzątaniny, brzęczały buteleczki z lekami, słychać było kroki pielęgniarek i pacjentów. Spojrzawszy na twarz matki, stwierdziła z ulgą, iż jest ona zupełnie przytomna.

- Jestem chora - odezwała się słabym głosem Elspeth Miller.



Jej ciemne oczy patrzyły tak trzeźwo, jak jeszcze nigdy, odkąd znalazła się w Rockford.

- Tak - skinęła głową Susannah. - Ale już wyglądasz znacznie lepiej.

Matka przez chwilę milczała, rozglądając się uważnie po pokoju.

- Za to ty wyglądasz na zmęczoną - odparła z przekonaniem. - Idź się położyć, pielęgniarki zajmą się mną.

Mówiła to tak świadomie, że w sercu córki pojawiła się iskierka nadziei, iż zapalenie płuc jakimś cudem oczyściło jej umysł.

Wstała, by czym prędzej porozmawiać o tym z przełożoną pielęgniarek, ale matka wzięła ją za rękę i zatrzymała przy sobie.

- Ten młody człowiek - szepnęła.

- Jaki młody człowiek? - zdumiała się Susannah, która myślała już o tym, co powie jej pielęgniarka.

- Ten, za którego chciałaś wyjść za mąż.

Zmarszczyła czoło. Był to drugi przypadek, gdy matka wspomniała o Marcusie w ciągu ostatnich ośmiu lat. Czyżby umiała czytać w jej myślach?

- Przepraszam - szepnęła Elspeth Miller.

- Za co? - nie mogła zrozumieć Susannah.

- Za to, że razem z twoim ojcem nie zaakceptowaliśmy tego dziecka.

Błagam cię, mamo, nie rób mi tego teraz, prosiła ją w myślach.

- Czy mogłabyś ją kiedyś do mnie przyprowadzić? - zapytała nieśmiało matka.

Uścisk jej dłoni był zaskakująco silny, ale twarz wyrażała

słabość i zmęczenie, dlatego Susannah postanowiła, że zaczeka jeszcze z powiedzeniem jej prawdy.

- Jeśli chcesz, przywiozę ją, jak wydobrzejesz - obiecała, gładząc jej dłoń.

Matka westchnęła z ulgą i położywszy głowę na poduszce, zamknęła oczy.

Wtem od strony drzwi dobiegł ją dźwięk, który kazał jej się natychmiast odwrócić i spojrzeć w tamtą stronę. Ujrzała Marcusa, trzymającego okazały bukiet kwiatów. Jego spojrzenie było tak lodowate i wrogie, że poczuła na plecach ciarki. Tymczasem on ostentacyjnie wrzucił kwiaty do stojącego obok kosza na śmieci i wyszedł.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie wiedziała nawet, jakim sposobem znalazła się na korytarzu, powodowana pragnieniem, by dogonić Marcusa, wszystko mu wytłumaczyć. Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że powinna dać sobie spokój, ale jej nogi zdawały się go nie słuchać, niosąc ją ku wyjściu z budynku.

Marc stał z dłonią na klamce, gotowy do wyjścia, ale najwyraźniej stukot jej obcasów kazał mu się zatrzymać. Odwrócił się wolno, po czym zmierzył ją nieprzyjaznym spojrzeniem, które sprawiło, iż obudził się w niej gniew.

- Świetnie, idź sobie - prychnęła. - To umiesz najlepiej.

- Czy biegłaś tylko po to, żeby mi to powiedzieć? - zapytał niespodziewanie łagodnym głosem. - Czemu zadałaś sobie tyle trudu?

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, by nie sprowokować dalszych pytań.

- Nie trzeba było się zakradać - odparła wreszcie. - Mogłeś przynajmniej zapukać.

- I przerwać tak ważną rozmowę między matką i córką? - W jego głosie wyraźnie pobrzmiwała nuta ironii.

- Co ty tu w ogóle robisz?

- Gdy wróciłem dziś rano do domu, odsłuchiłem automatyczną sekretarkę i dowiedziałem się, że Alison zabrała O'Leary'ego ze sobą do domu - wyjaśnił. - Wydawała się zaniepoko-

jona, więc pojechałem do niej. Wy tłumaczyła, dlaczego pies jest u niej, więc przyjechałem tutaj, żeby podtrzymać cię na duchu. Zabawne, prawda?

- Szalenie - mruknęła.

- Już zaczynałem ci wierzyć, że faktycznie nie było żadnego dziecka, a tu proszę, musiałem wejść akurat w trakcie tej rozmowy. Skłamałaś- dodał cicho.

A ty po raz kolejny wyciągnęłaś błędne wnioski, pomyślała ze smutkiem.

- Masz rację, skłamałam - przyznała, wpatrując się w podłogę. - Ale nie mam zamiaru nic ci tłumaczyć. Nie chciałeś mnie słuchać przed ośmiu laty, a ja teraz nie zamierzam cię błagać, żebyś zechciał przyjąć moje wyjaśnienia.

To powiedziawszy, odwróciła się na pięcie i powędrowała z powrotem korytarzem do pokoju, który zajmowała jej matka. Nie mogąc się powstrzymać, sięgnęła do kosza i wyjęła z niego opakowany w celofan bukiet różnokolorowych goździków. Usiadła ponownie w stojącym obok łóżka chorej fotelu, na kolanach zaś złożyła kwiaty, które roztaczały dookoła intensywny korzenny zapach.

Silną falą powróciły wspomnienia owego fatalnego listopadowego dnia przed ośmiu laty wracali ze spaceru po cmentarzu. Jej nogi wciąż lekko się ugiwały, a serce biło jak szalone po namiętym pocałunku. Blask w oczach Marcusa mówił jej, że także i w nim wciąż żywe było wspomnienie tej pieśczoły. Gdy znaleźli się na werandzie domu jej rodziców, ponownie przygarnął ją do siebie, chcąc wykorzystać ostatnią chwilę prywatności. Nawet nie spostrzegli, że w tym czasie państwo Millerowie stanęli w drzwiach i przypatrywali się im z oburzeniem.

- Jakie to prostackie - orzekła jej matka. - Oczywiście

Skan i ebook pona

nie mogłam spodziewać się po tobie niczego innego, Susannah, skoro miałaś czelność przyprowadzić do domu kogoś takiego.

Po raz pierwszy od ich przyjazdu wyraziła się tak ostro, lecz Susannah od pierwszej chwili wiedziała, iż jej ukochany nie przypadł do gustu rodzicom. Gdy przedstawiła im Marcusa, matka nie omieszkła podkreślić kontrastu między jego arystokratycznie brzmiącym nazwiskiem a odciskami na dłoniach. Zapytała o jego zawód, a on z niekłamana dumą i entuzjazmem opowiedział jej o awansie, jaki niedawno otrzymał. Elspeth Miller mało wtedy nie zemdłała, ale nic nie powiedziała, ponieważ jako prawdziwa dama nie mogła obrazić gościa, znajdującego się pod jej dachem.

Wtedy na werandzie też nie podniosła głosu, ale jako że Marcuszym zachowaniem udowodnił słuszność jej opinii na jego temat, czuła się zwolniona z obowiązku okazywania uprzejmości. Wyważonym tonem oznajmiła córce, co sądzi na temat takiego prowadzenia się, zaś Marcusowi uświadomiła, jak bardzo się myli, sądząc, iż godzien jest choćby dotknąć Millerówny. Skrytykowała jego pochodzenie, zawód, inteligencję, gust, dosłownie wszystko.

Przez cały czas ojciec nie odezwał się ani słowem, ale też jej nie przerwał, lecz gdy Susannah spostrzegła, iż cały czas kiwa głową z aprobatą, poczuła, że ma dość. Jednak to nie ona, tylko Marc przerwał ciszę, gdy Elspeth Miller skończyła swój wywód.

- Jeśli to wszystko, co ma pani do powiedzenia na mój temat, to chciałbym coś dodać. Być może uważają mnie państwo za prostaka, ale dla mnie liczy się opinia tylko jednej osoby i jest nią Susannah. Chcę się z nią ożenić i...

Była pełna podziwu dla niego, za odwagę, z jaką stanął twarzą w twarz z rozsierdzoną Elspeth Miller, za determinację, z jaką bronił ich związku. Popatrzyła na niego z uwielbieniem, przez co nie spostrzegła, jak twarz ojca poczerwieniała groźnie. Charles Miller, nie przebijając w słowach, oznajmił Marcusowi, co sądzi o jego bezczelności i zapowiedział, że ktoś taki jak on nigdy nie ożeni się z jego córką.

- Oczywiście, że za niego wyjdę - przerwała, straciwszy cierpliwość. - A jak sądzisz, po co go tu przywozłam?

- I chcesz porzucić wszystko dla takiego prostaka? - Ojciec zdawał się nie wierzyć własnym uszom.

- Kategorycznie zabraniam! - zawołała w tej samej chwili Elspeth Miller.

Wtedy to w jej głowie powstał najgorszy z możliwych pomysłów. Nawet gdyby namyślała się przez tydzień, nie wpadłaby na nic bardziej niedorzecznego.

- Obawiam się, mamó, że nic to nie da - odparła spokojnie.  
- Muszę... wyjść za Marcusa, bo... bo jestem w ciąży.

Na dłuższy moment na werandzie zapanowała absolutna cisza. Ojciec wyglądał tak, jak gdyby miał za chwilę dostać zawału, matka zaś pobladła i zachwiała się.

- Cóż, to w pewnym sensie zmienia postać rzeczy - stwierdził wreszcie Charles Miller.

- Owszem - zgodził się Marc nieswoim głosem.

Susannah posłała mu wymowne spojrzenie, ale napotkała jego lodowaty wzrok.

Odzyskawszy wreszcie głos, matka zaczęła krzyczeć jak przekupka na straganie, zaś ojciec wygłosił długi umoralniający wykład. W rezultacie dopiero po kilku godzinach mogła porozmawiać z Marcusem sam na sam. Znalazła go w pokoju gościn-

nym, który zajmował na czas ich wizyty. Z furją wrzucił do torby ubrania i podręczne drobiazgi, które ze sobą przywiózł.

- Masz rację, po tym, jak nas potraktowali, nie pozostaje nam nic innego jak wyjechać - zgodziła się. - Może kiedy trochę ochłona, zaczną zachowywać się jak normalni ludzie... Idę po moje rzeczy.

- A dokąd się wybierasz? - zapytał pozornie spokojnym tonem.

- Jak to, dokąd? Z tobą, oczywiście.

- Tylko że ja nie mam zamiaru cię z sobą zabrać.

- Ale przecież nie mogę tu zostać po tym wszystkim - zaprotestowała.

- To już twój problem.

- Przecież powiedziałaś, że chcesz się ze mną ożenić - przypomniała słabym głosem.

- Owszem - przyznał. - Ale to było, zanim przekonałem się, jaka naprawdę jesteś.

- Ależ, Marc, to nie jest tak, jak myślisz!

- Czyżby? - prychnął. - Sądziłaś, że jestem w tobie ślepo zakochany i zrobisz ze mną, co zechcesz? A co z tym drugim? Czyżby nie miał odwagi ponieść konsekwencji tego, co zrobił?

Susannah długo wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, w końcu podjęła decyzję.

- Dobrze, idź sobie - warknęła, próbując w ten sposób ukryć drżenie głosu. -I tak nic by z tego nie wyszło.

- Ach, rozumiem, o co toczyła się gra - stwierdził szyderczo. - Najpierw rzuciłaś mnie rodzicom na pożarcie, a teraz oznajmisz, że tak naprawdę to nie ja jestem ojcem, więc będą się mimo wszystko cieszyć. Jesteś doskonałym strategiem.

To powiedziawszy, zniknął na osiem lat z jej życia. I lepiej

byłoby, gdyby tak pozostało, pomyślała z rozpaczą, gładząc miękkie płatki goździków.

Z Rockford wyjechała dopiero w niedzielny wieczór, gdy matka poczuła się lepiej i powróciła do organizowania swego wymyślanego świata. Susannah była tak przygnębiona i wyczerpana wydarzeniami minionych dni, że nie poszła na poniedziałkowe spotkanie współwłaścicielki Tryad, zaś w pracy zjawiła się spóźniona o kilka godzin.

Alison, która wracała właśnie z pracowni, niosąc pod pachą plakat reklamowy, zatrzymała się przy biurku Rity, gdzie Susannah przeglądała adresowaną do niej korespondencję.

- Wyglądasz jak zjawa - oceniła.

- Bo czuję się fatalnie - westchnęła. - Przepraszam, że nie przyszłam dziś rano na spotkanie, ale...

- Nic nie straciłaś. - Alison machnęła ręką. - Kit spędziła większość czasu, wymiotując w damskiej toalecie, a ja... - urwała nagle. - Kit mówiła, że twoja mama ma się znacznie lepiej.

Susannah skinęła głową, notując jednocześnie w pamięci, by przez jakiś czas obserwować przyjaciółkę, która jeszcze nigdy nie zachowywała się tak tajemniczo. Gdy tylko odzyska trochę energii, postara się, by Alison dokończyła to zdanie, które tak nagle urwała.

- Czy z Kit coś nie tak? - zaniepokoiła się. - Kiedy wczoraj z nią rozmawiałam przez telefon, odniosłam wrażenie, że wszystko jest w porządku.

- Jak przypuszczam, jej dolegliwość nie jest zaraźliwa - wyjaśniła chłodno Alison. - Masz kilka wiadomości od Amosa Richardsa. Może jednak jeszcze nie wszystko stracone?

Susannah szczerze wątpiła, że po minionym weekendzie po-



zostały jej jeszcze jakiegokolwiek szanse na otrzymanie tego zlecenia.

- Sprawdzę, ale nie rób sobie zbyt dużych nadziei, Ali.

Znalazłszy się w swym gabinecie, rzuciła na biurko stos listów, po czym zajrzała do torby, aby wydobyć z niej kalendarz. Ze zdumieniem odkryła tam opakowany w szeleszczący papier talerz dla pani Holcomb, o którym na śmierć zapomniała przez ostatnie dni. Zdobny był wprawdzie w różowe tulipany, a nie w żonkile, ale ornament również malowany był ręcznie, więc od biedy można było uznać obydwie talerze za podobne.

Kupiła go, chcąc wyręczyć Marcusa, który musiał wyjechać służbowo. Chciała mu w ten sposób okazać, że zależy jej na nim, że jest mu potrzebna. Na szczęście nic mu o tym nie powiedziała, więc nie musiała się teraz wstydzić swej naiwności.

Nie wiedziała, co powinna zrobić z tym skarbem. Nie miała ochoty zatrzymać go na pamiątkę, nie mogła też odnieść z powrotem do sklepu, zaś szkoda jej było wyrzucić go do śmieci. Koniec końców, postanowiła zanieść go sąsiadce, która niczemu nie była winna, toteż nie powinna zostać pozbawiona jednego ze swych talerzy.

Zastukała dwa razy do masywnych drzwi, które po dłuższej chwili uchyliły się nieco.

- Pani Holcomb - zaczęła nieśmiało. - Bardzo mi przykro, ale stało się coś okropnego. Pani talerz spadł i rozbił się na drobne kawałki, więc kupiłam drugi. Wiem, że nie zastąpi tamtego, który był pewnie dla pani bardzo cenny...

- Ależ skąd - przerwała jej starsza pani, przyglądając jej się bacznie. - Moja droga, wyglądasz, jakbyś miała za chwilę zemdleć. Czyżby ten twój kawaler dokuczał ci za bardzo?

- Już nie - odparła, siłąc się na uśmiech. -I nigdy nie był

mój. Niestety, ten talerz ozdobiony jest tulipanami, a nie żonkilkami.

- Tulipanami? - ucieszyła się sąsiadka. - To moje ulubione kwiaty. Powinnaś chyba już iść...

Czy to nie głupie, że czuła się odrzucona tylko dlatego, że Marc został przez starszą panią zaproszony do środka i ugoszczony bułeczkami cynamonowymi? A jednak było jej przykro, tak przykro, iż z trudem powstrzymywała łzy.

Na schodki padł cień, więc podniosła głowę. Naprzeciw niej stał Marc, trzymając pod pachą plastikową torbę, w której znajdował się talerz. Nic dziwnego, że pani Holcomb tak szybko chciała się jej pozbyć, skoro na horyzoncie pojawił się jej ulubieniec.

- Przepraszam - mruknęła, przechodząc obok niego.

Chciała jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznej przystani, za jaką w tej chwili uważała swój gabinet. Już miała otworzyć drzwi, prowadzące do Tryad, gdy Marc jednym susem przeskoczył ogrodzenie i zatarasował jej wejście.

- Ślicznie - pochwaliła. - Widzę, że nie marnowałeś czasu na Hawajach i ćwiczyłeś zawzięcie. Przepraszam, chciałabym przejść.

- Nigdzie się stąd nie ruszę - zapewnił.

- Nie wiem, co chciałbyś jeszcze usłyszeć, ale ja nie mam ci nic do powiedzenia.

- A może powiesz mi prawdę? - podsunął łagodnym głosem.

- Znasz ją - mruknęła.

- Czyżby? - Odsunął się, aby ją przepuścić. - Wiesz, zawsze mnie ciekawiło... - dodał, gdy położyła dłoń na klamce.

- Kto był ojcem? - domyśliła się.

- Nie. - Potrząsnął przecząco głową. - Czy rodzice cię wy-

dziedziczyli, czy jesteś sama, jak sobie radzisz ze studiami, jak się chowa dziecko...

Zerknęła na niego przez ramię, zaskoczona smutkiem, jaki brzmiał w jego głosie. Czy to możliwe, żeby przez te wszystkie lata martwił się o nią?

Nie wiedziała, czy w jej spojrzeniu pojawiło się przyzwolenie, ale zanim się spostrzegła, już szli na górę do jej gabinetu.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał, gdy już się tam znaleźli.  
- Pożyczysz skądś dziecko i pojedziesz z nim do matki?

Sama się nad tym wielokrotnie zastanawiała w ciągu ostatnich kilku dni, nie znalazła jednak do tej pory dobrego rozwiązania,

- Nie mam pojęcia - przyznała. - Na razie poczekam, aż odzyska siły, a potem zobaczymy. Skąd wiesz?

- *Że nie masz dziecka?* - domyślił się. - *Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że to nie mnie okłamałaś, ale swą matkę.*

- Powoli, ostrożnie podszedł do kanapy, na której siedziała, i usadowił się na drugim jej końcu. - Jak długo trwa jej choroba?

- Czy Alison również i o tym cię poinformowała?

Zapewne tak, bo tylko jej przyjaciółki wiedziały o chorobie Elspeth Miller. Skoro jednak znał prawdę, to czemu okazał jej tak mało zrozumienia?

- Po tym, jak mi kazałaś pójść sobie, zacząłem się nad tym wszystkim zastanawiać, aż w końcu zapytałem kilka osób i w ten sposób dowiedziałem się mniej więcej, jaki jest stan twej matki - wyjaśnił. - Wiem, że żyje we własnym, nie istniejącym świecie, nie mam jednak pojęcia, od jak dawna. Jak się to stało?

- Lekarze nie wiedzą - odparła wymijająco.

- Ale ty tak, prawda? Podejrzewasz, że zaczęło się, gdy straciliście majątek?

- O tym też wiesz? - jęknęła.

- Przez dłuższy czas nie miałem o niczym pojęcia, ale zacząłem się domyślać, gdy zobaczyłem twoje mieszkanie. Być może nie pochwaląłeś postawy rodziców, ale zawsze lubiłeś stylowe wnętrza. Doszedłem więc do wniosku, że nie z własnej woli wybrałeś to ciasne mieszkanko, umeblowane przypadkowymi sprzętami. Poza tym wiedziałem, że nigdy nie brak ci było dumy.

Zamrugła intensywnie oczyma, chcąc powstrzymać łzy.

- Wtedy przejrzałem gazety i znalazłem nekrolog twego ojca - ciągnął pełnym współczucia głosem. - Zaplanował wszystko dokładnie, żeby nie wyglądało to na samobójstwo, prawda?

Zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę nie było to pytanie, więc skinęła w milczeniu głową.

- Właśnie wtedy twoja matka zaczęła swą podróż donikąd? - domyślił się. - I pomyśleć, że wciąż wypominałem ci, że jesteś Millerówną z Northbrook, urodzoną snobką. - Pokręcił z dezaprobatą głową. - Tak mi przykro.

Na dłuższy czas zapadła cisza, której żadne z nich nie chciało przerywać niepotrzebnymi słowami.

- Wyjaśnij mi jeszcze jedno - poprosił wreszcie. - Dlaczego w ogóle powiedziałaś, że spodziewasz się dziecka?

Z całego serca pragnęła odpowiedzieć mu na to pytanie, ale wciąż obawiała się, iż nie jest jeszcze gotów jej wysłuchać.

- Czy to aż takie ważne? - zapytała, grając na zwłokę.

- Wiesz, że tak - szepnął. - Co takiego powiedziałaś mi wtedy przed ośmiu laty, gdybym zechciał cię wysłuchać?

- Że użyłam tej wymówki jako obrony przed moimi rodzicami - wyznała wreszcie, co natychmiast przyniosło jej niewysłowioną ulgę.

- Myślę, że gdzieś w głębi serca zawsze byłem o tym przekonany. - Skinął głową. - Byłaś wtedy taka młoda i zbuntowa-

na, że przez chwilę sądziłem, że chciałaś rodzicom utrzyć nosa, dając im nieślubnego wnuka. Wiedziałaś też, że kochałem cię tak mocno, że zrobiłbym dla ciebie prawie wszystko.

- A więc uwierzyłeś, że mogłabym cię wykorzystać? - domyśliła się.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj, miałaś prawo dojść do takiego wniosku. Widzisz, chciałam dać im nauczkę za to, że byli dla ciebie tak okrutni, że ocenili cię po pozorach.

Marc przysunął się bliżej, by objąć ją czule ramieniem. Nie zaprotestowała, wręcz przeciwnie, marzyła o tym, by móc siedzieć tak całą wieczność.

- Wystarczyło, że powiedziałaś, że ci na mnie zależy, a już rzucili się na ciebie jak wygłodniałe wilki - ciągnęła. - Chciałam udowodnić im, że nie mają racji, że są okropnie powierzchowni, wtedy wpadłam na ten niedorzeczny pomysł. Wiedziałam, że to będzie dla nich prawdziwy szok.

- I dla mnie też - dodał z rozbawieniem.

- Wyrwało mi się, zanim zdążyłam się dobrze nad tym zastanowić - wyznała. - Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że możesz potraktować to poważnie.

- Czułem się urażony, że chciałaś zrobić ze mnie kozła ofiarnego, a jednocześnie marzyłem, żeby jakimś cudem to było moje dziecko. - Musnął ustami jej ucho. - Gdy tylko odszedłem, wiedziałem, że podjąłem najgorszą decyzję w swoim życiu. W ciągu tych ośmiu lat nie było dnia, żebym nie żałował, że zamiast przejmować się zranioną dumą, nie usłuchałem swego serca. Gdybym był wtedy mądrzejszy, wziąłbym cię w ramiona, powiedział, że to miłość, a nie biologia czyni rodzinę i zabrałbym cię jak najdalej od twych rodziców.

Susannah nie mogła uwierzyć swemu szczęściu. Chętnie poddała się namiętym, przepełnionym radością pocałunkom Marcusa i minęło sporo czasu, zanim odzyskała ostrość widzenia.

- Jesteś niebezpieczny - szepnęła, opierając się o niego wygodnie. - Może to i lepiej, że nam wtedy nie wyszło? Ubóstwiałeś mnie, byłam tego w pełni świadoma, istniało więc zagrożenie, że w pewnym momencie zechciałabym to wykorzystać. Ale teraz...

- Liczy się tylko to, co jest teraz - wyszeptał, wodząc pieśczołliwie palcem po jej policzku. - Słuchaj, jeśli chodzi o kolekcję Cyrusa... Chcesz sama powiedzieć Pierce'owi, że ją dostanie, czy może wolisz zostawić to mnie?

- Mówisz poważnie? - zawołała, podnosząc się, by spojrzeć mu w oczy.

- Chyba sama mówiłaś, że taka była wola Cyrusa - przypomniał.

- Niby tak, ale nie przypuszczałam, że dałeś się przekonać.

- Doszedłem do wniosku, że gdybyś udawała, włożyłabyś w to o wiele więcej starania. - Roześmiał się, po czym przyciągnął ją do siebie. - A czy firma Tryad wciąż jest zainteresowana współpracą z Universal Dynamics?

- Nie wiem, musiałbyś zagwarantować mi swobodę wyrażania opinii.

- Zdaje się, że powiedziałaś już co nieco Amosowi, więc w czym problem? - zdziwił się.

- To nie Amos jest tu przeszkodą - odparła.

- A więc obawiasz się konfrontacji ze mną? - domyślił się.

Pchnął ją lekko, tak że opadła na poduszki i zanim mogła zaprotestować, zamknął jej usta pocałunkiem, który sprawił, że zapomniała o całym bożym świecie.

- Jeśli tak zamierzasz rozwiązywać konflikty... - stwierdziła, odzyskawszy wreszcie głos.

- To chyba lepsze niż awantura, prawda? Proponuję, byśmy umówili się na okres próbny i po jakimś czasie sprawdzili, jak nam idzie.

- Zgoda - mruknęła i posłała mu zawadiackie spojrzenie.

- Tylko które z nas zostanie poddane próbie?

- Obydwoje - odparł szybko. - Tylko że okres próbny dotyczy jedynie pracy. Reszta będzie już na stałe. A co do twojej zasady, że nie sypiasz z żonatymi mężczyznami...

- Och, dla ciebie mogę zrobić wyjątek - zaofiarowała się.

- To dobrze, bo wkrótce zamierzam być bardzo żonaty, już na zawsze.

- Nie mam nic przeciwko temu - szepnęła, zaś chwilę potem ponownie znalazła się w jego ramionach.